ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK X. Nr 5 (449)

NIEDZIELA, 29 STYCZNIA 1956 R.

DELEGAT APOSTOLSKI ODWIEDZIŁ „VERITAS"

W dniu 13 stycznia odwiedził Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas J. E. ks. arcybiskup Gerald Patrick O'Hara, Delegat Apostolski na Wielką Brytanię, Gibraltar, Maltę oraz Bermudy. Dostojny Gość zechciał przypatrzyć się z bliska pracy wydawniczej Ośrodka, poznać jej trudne warunki, poświęcić nasze nowe pomieszczenie i udzielić nam błogosławieństwa do dalszej pracy.

Tę zaszczytną wizytę przyjęli pracownicy „Veritasu" z serdeczną radością. Odwiedziny te bowiem pozwoliły naszym gosciom, przeważnie blisko z nami współpracującym, przedstawicielom prasy katolickiej oraz wszystkim współpracownikom Ośrodka zetknąć się z bliska z wybitnym przedstawicielem Episkopatu Stanów Zjednoczonych, wytrawnym dyplomatą watykańskim i przedstawicielem Ojca św. na terenie Wielkiej Brytanii, gdzie żyje tak liczne skupisko Polaków.

Zanim podamy przebieg tej wizyty, pragniemy podać do wiadomości Czytelników nieco szczegółów biograficznych z życia naszego Dostojnego Gościa.

J. E. ks. arcybiskup Gerald Patrick O'Hara urodził się i studia ukończył w Stanach Zjednoczonych, gdzie już jako 34-letni kapłan otrzymał sakrę biskupią oraz nominację na sufragana w diecezji Filadelfia. W niespełna 5 lat potem, w r. 1935, został ordynariuszem diecezji Atlanta, przemianowanej później na Savannah-Atlanta. Po wojnie jest powołany do watykańskiej służby dyplomatycznej, przekazując rządy diecezją swemu biskupowi sufraganowi. Na nowym stanowisku ks. biskup O'Hara poświęca się głownie studiom nad położeniem Kościoła za żelazną kurtyną, a w r. 1947 zostaje regensem nuncjatury w Rumunii. Po zerwaniu jednak konkordatu i rozpoczęciu prześladowań wytoczono proces szoferowi regensa nuncjatury, oskarżając w nim pośrednio samego przedstawiciela Watykanu. Po ostrym proteście ze strony ks. biskupa O'Hara zmuszono go do opuszczenia tego kraju. Powrócił więc do Rzymu, gdzie w roku 1950 otrzymał od Ojca św. tytuł arcybiskupi ad personam. W latach 1951-54 piastuje stanowisko nuncjusza w Irlandii, a w połowie roku 1954 otrzymuje nominację na obecne stanowisko.

60-letni już dziś Arcybiskup, gorliwy duszpasterz i doskonały kaznodzieja, a zarazem doświadczony dyplomata, jest człowiekiem ujmującej prostoty w obcowaniu z ludźmi i ujmuje ich swą bezpośredniością i dobrocią. Toteż powitaliśmy w tym przedstawicielu Ojca św. kogoś, kto przyszedł do nas z wielkim zrozumieniem i naszego położenia jako uchodźców i celowości naszej pracy w sytuacji, w jakiej znajduje się nasz Kraj i Kościół w Polsce.

Przedstawiciel Ojca św. zechciał już poprzednio zainteresować się działalnością Ośrodka, a teraz przybył do nas osobiście w momencie dość osobliwym. Oto po rocznych z górą staraniach udało się dyrekcji Ośrodka dokończyć korzystnie pertraktacji o wynajem dodatkowego większego pomieszczenia, w którym można będzie trochę swobodniej pracować, niż dotychczas. Jest to na razie jeszcze prawie nie urządzony lokal, wymagający wielu wkładów. Stoi zaś ten budynek na dawnych gruntach poklasztornych i zapewne poczuciu humoru owych zakonników zawdzięczamy dziś, że termin dzierżawy, czyli tzw. lease'u dla tego budynku kończy się za... dwa tysiące lat, a czynsz dzierżawny za grunt pod nim wynosi ziarno pieprzu rocznie. Czyżby — jak ktoś zauważył — były to dwa symbole: pracy, której skutki sięgają daleko w przyszłość i ograniczonych do minimum środków, jakimi rozporządzamy?

Dostojny Gość interesował się tym co dotychczas zrobiono, widział, w jakich warunkach pracujemy i chciał poznać wszystkich ludzi, którzy w jakikolwiek sposób przyczyniają się do tej pracy. Chodził więc od pokoju do pokoju, od jednego działu do drugiego, a przede wszystkim od człowieka do człowieka. Zapoznał się też starannie z całą naszą organizacją i przejrzał nasz dorobek. Toteż gdy w naszym imieniu przemówił ks. prałat W. Staniszewski dziękując Jego Ekscelencji za przybycie i zaznaczając przy tej okazji, że zgromadzeni tu w liczbie 40 osób pracownicy Ośrodka pracują przede wszystkim dla chwały Bożej, dla utwierdzenia swych rodaków w wierze i przywiązaniu do Kościoła, gdy wskazywał, że praca ta wymaga niemało samozaparcia i ofiarności ze względu na niełatwe warunki, w jakich się odbywa — odczuwaliśmy wszyscy szczerą wdzięczność dla Dostojnego Gościa, że zechciał znaleźć się wśród nas i tym podkreślić, że nasze wysiłki znajdują uznanie ze strony najwyższych władz Kościoła. Dało to nam też możność spojrzenia z pewnej jak gdyby perspektywy na to, co tutaj codzinnie robimy i co chcielibyśmy robić jak najlepiej.

Po poświęceniu nowego lokalu Jego Ekscelencja przemówił do nas bardzo serdecznie, bardzo prosto i ciepło. Jako Pensylwańczyk z pochodzenia, stykał się z Polakami od lat młodości i — miło nam było usłyszeć — że podziwiał zawsze ich pobożność, umiłowanie Matki Bożej i dobre życie chrześcijańskie. Potem zaś, gdy jako biskup sufragan w Filadelfii wizytował parafie polskie, znów widział pełne kościoły i manifestacje żywej wiary naszych rodaków, imigrantów lub ich potomków.

Tak się złożyło, iż Ks. Arcybiskup znajdował się u boku Ojca św., gdy w sierpniu 1939 roku rozstrzygały się sprawy pokoju i wojny i gdy Ojciec Chrześcijaństwa czynił nadludzkie wysiłki, aby polityków przywołać do opamiętania, by odwrócić od świata straszną katastrofę, której Polska miała paść pierwszą ofiarą. Niestety, nie usłuchano Papieża. Cały świat katolicki a szczególnie Papież Pius XII boleśnie odczuł los Polski. „Ciężki też jest los Waszgo Kraju obecnie pod sowieckim jarzmem — mówił dalej Jego Ekscelencja. — Ale mimo, że Prymas, wielu biskupów, księży oraz tylu wiernych jest w więzieniach, nikt nie wyrzekł się Wiary, Kościoła i Ojca św. Dlatego nie wolno Wam ustawać w modlitwach i ofiarnej pracy dla Kościoła i Polski, bo dzięki tym ofiarom wolna znów Polska powstanie do nowego, jeszcze pełniejszego niż dawniej, życia."



J. E. ks. arcybiskup Gerald Patrick O'Hara opuszcza nasz Ośrodek. W głębi sekretarz Delegatury Apostolskiej, ks. prałat D. Cashman.

Przypomniał Ks. Arcybiskup, że Ośrodek nasz nosi nazwę „Veritas", czyli „Prawda", trzeba więc, by i jego pracownicy pamiętali, iż wzięli na siebie obowiązek pracy, która ma w duszach Polaków na obczyźnie utrzymać świętość wiecznej prawdy, że ich zadaniem jest nowoczesny apostolat prasy i słowa drukowanego. „Widziałem, co wydajecie i co drukujecie — mówił — od katechizmu i mszalika dla małych dzieci aż do dzieł dla ludzi wykształconych. To wszystko jest bardzo potrzebne, nie ustawajcie więc w pracy, bądźcie nadal gorliwi i ofiarni. Oby to zbożne dzieło rosło i dawało obfity plon w duszach waszych braci na uchodźstwie. Trzymajcie się wiary waszych przodków i bądźcie wierni Kościołowi, abyście, gdy żelazna kurtyna się uniesie, mogli wrócić do Kraju i tam budować Polskę Bożą!"

Znalazło się też wśród słów przedstawiciela Ojca św. ostrzeżenie do katolików polskich, aby nie pozwolili się podzielić przez spory polityczne, bo walki między braćmi katolikami nie powinny mieć miejsca.

W końcu Ks. Arcybiskup wyraził nadzieję, iż znajdą się środki na polepszenie warunków naszej pracy wydawniczej, na poszerzenie potrzebnej dla niej przestrzeni i zakup potrzebnych maszyn i urządzeń, aby praca Ośrodka mogła objąć większy zakres i dawać jak najlepsze wyniki.

Ażeby zaś uprosić pomoc Bożą dla niej, Dostojny Gość nie tylko poświęcił dom, w którym pracujemy, oraz maszyny i urządzenia, ale też udzielił wszystkim zebranym swego arcypasterskiego błogosławieństwa.

Odjeżdżającego Przedstawiciela Ojca św. żegnaliśmy z głęboką wdzięcznością za to wszystko, co nam łaskawie przyniósł i co w imieniu Ojca św. powiedział, bo te odwiedziny wniosły wiele światła i ciepła w zadymiony zaułek Londynu, w którym wypadło nam pracować.

j. c.



Delegat Apostolski w redakcji „Życia" ogląda roczniki naszego tygodnika. Wyjaśnień udzielają kurator St. Grocholski i redaktor J. Kisielewski.

JULIEN GREEN

FRAGMENTY Z PAMIĘTNIKA

1949

2 stycznia. Dwie siły w nas, obydwie równie potężne: energia ducha i namiętność uczuć. Namiętność jest we wszystkim, co widzimy, a duch we wszystkim, czego nie widzimy, ale duch przedostaje się do rzeczy widzialnych jak woda wezbranej rzeki, co rwie groble i zalewa pola. A rzeczy niewidzialne podmywa namiętność jak potężny przypływ morski. Namiętność udziela się modlitwom nawet tak czystym, że lepiej nie potrafiłoby ich odnowić dziecko, a w szale ciała jest coś podobnego do ślepej tęsknoty za utraconym Rajem. Nie istnieje nic całkowicie czystego, ani całkowicie nieczystego. Skromna siostra św. Wincentego à Paulo może być pełna namiętności i tylko nasz manicheizm nie pozwala nam tego dostrzec, bo nie chcemy przyznać, że namiętność jest też dziełem Boga i że jest w istocie swej różnorodna. Tak samo szał rozkoszy nabiera tylko wtedy pełnego znaczenia i może być należycie zrozumiany, kiedy się uzna, że jest w nim coś Boskiego, tęsknota za Bóstwem.*)

2 lutego. Dziwny zawód. Pracuję wiele, pragnąc koniecznie zapomnieć, zatopić się w świecie wyobraźni. I cóż znajduję w świecie wyobraźni? Własne problemy, powiększone do zastraszających rozmiarów.

5 maja. Dopóki wznosimy protesty przeciw sobie samym, możemy mieć wszelką nadzieję. Przegrywamy dopiero wtedy, kiedy zgadzamy się ze sobą i rezygnujemy. Inaczej mówiąc (pozwolę sobie na grę słów), dopókiśmy pełni niepokoju, to możemy być spokojni!

16 czerwca. W powódź ludzkiej gadaniny Bóg czasem wtrąci słowo; każdy człowiek staje się w pewnej chwili apostołem, nie wiedząc o tym. Wszystko głosi Boga.

28 czerwca. Mam za złe pewnemu pisarzowi, że z religii, a przede wszystkim z piekła zrobił temat literacki, dowodząc w ten sposób, że ze sfery poważnej przeszedł w sferę błahostek. Mówi o wielkości piekła. Wcale nie, piekło to miernota, to porażka miłości.

8 lipca. Jestem trochę zniechęcony do mojej powieści**), bo doszedłem do miejsca, w którym muszę dawać wyjaśnienia. Mam ich już całe dwie strony, które po prostu streszczę w dwóch zdaniach, bo nie służą akcji, a na akcji zależy mi przede wszystkim. Wyjaśnienia psychologiczne płyną zbyt często z niedostatecznego umotywowania akcji. Czyn powinien odsłaniać to, co kryje się w głębi duszy; to jest jego rola; słowa służą tylko poszerzaniu efektów. Można to zauważyć we wszystkich prawie powieściach współczesnych. Gadatliwa i mędrkująca ta nasza epoka!

10 lipca. W kazaniu ku czci św. Bernarda Bossuet przytacza i aprobuje to co święty powiedział swej siostrze, która odwiedziła go pewnego dnia „błyszcząc drogimi kamieniami, z dumą na twarzy i we wspaniałym zaprzęgu... Ach, cóż za wstyd stroić się w majętność biedaków!" Doskonale. Tylko potem tłumaczy jej, że jest w błędzie ozdabiając zgniliznę. Tak nazywa ciało. „To ciało bowiem, chrześcijanie, — ciągnie Bossuet — jest tylko bryłą błota, nieco ozdobioną ze względu na duszę, która w niej mieszka." Oto jak ci straszni ludzie mówią o jednym z największych dzieł Bożych. Zgnilizna, bryła błota. Michał Anioł myślał inaczej...

11 lipca. Zbawienie ludzkości. Znów mnie gnębi ten problem nie do rozwiązania. Kiedy Bóg stworzył świat, czyż możliwe, że zgodził się na potępienie wielkiej części ludzkości, nawet zanim jeszcze uformował Adama z mułu ziemi? Nie chciałbym, żeby jakikolwiek człowiek odpowiedział mi na to pytanie. Wolę przerażającą ciszę, niż pewien rodzaj odpowiedzi.

12 lipca. Pewien młody pisarz przyszedł prosić mnie o radę. Waham się długo. Wreszcie mówię mu: „Pozostaje pan poniżej samego siebie, boi się pan słów. Zachowując nadal tę samą ostrożność, nigdy pan nie stworzy niczego poważnego..." On mi na to, że zależy mu przede wszystkim na stworzeniu własnej **syntezy.** Pytam go, co przez to rozumie, a on mi odpowiada, że choć jest Francuzem, pochodzi z dwóch różnych ras i chciałby za wszelką cenę zespolić się w jedność. „A pan?" — pyta. Wzruszam ramionami. Nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Piszę książki.

20 lipca. Jak dobrze można wyczuć w czytaniu, czy dana książka jest niezbędna czy nie, nie tyle dla czytelnika co dla autora; Czy początkowy rozmach jest dość mocny, aby doprowadzić opowieść do końca? Należałoby z każdej stronicy odnosić wrażenie niezwyciężonego wewnętrznego parcia; tymczasem wydaje się najczęściej, że autor wywiązuje się z uciążliwego zadania, bo trzeba mu pewnej ilości banknotów. Zdarzą się, że książka powstaje z początku pod wpływem tajemniczego impulsu wewnętrznego, który jednak stopniowo traci na sile i wreszcie znika całkowicie, podczas gdy powieść posuwa się dalej jak może. Strony pokrywają się martwymi słowami, partacz wydłuża zdania, żeby prędzej dojść do końca... Nie mam nigdy zaufania do zbyt długich książek, bo zwykle jest to znak braku energii, a nie, jakby się zdawało, dowód mozolnej pracy.

22 sierpnia. Byłoby co pisać o szerokiej drodze, która prowadzi do piekła. Nie jest to wcale przyjemny spacer, o którym mówią książki, ale podróż okropna, uciążliwa, wycieńczająca. Łzy, noce pełne trwogi, wszystko co grzesznik cierpi dla szatana. To co nazywają życiem rozkoszy, podstępy i cierpliwe zasadzki, granie komedii w celu ukrycia własnych uczuć, udawanie, kłamstwa, czekanie, czekanie bez końca... Jakże ich to nie znuży? Znużyliby się, gdyby nie dostawali czasem tego, czego pragną i co ich utrzymuje w podnieceniu aż do następnego razu i aż do śmierci.

27 września. Pomyśleć, że ponad wszystko chciałby człowiek zostać świętym. Aż śmiech bierze. Świętego, co rwie się w nas do życia, mordujemy powoli co najmniej przez trzydzieści lat. Jest i nad czym zapłakać.

16 października. Piszę o tym, co widzę. Gdybym miał określić się jako pisarz, to myślę, że to zdanie wyraziłoby mniej więcej wszystko. Jeżeli nie widzę, to nie mogę pisać, to znaczy jeżeli przed oczyma ducha nie mam dokładnie przedstawionej sceny, którą chcę oddać na piśmie, mówię, tak jak się mówi o przedstawieniu teatralnym — nie mogę nic stworzyć. Nie jestem jak pisarze, co mogą zmyślać do woli za pomocą słów, a nie oczu ducha (czytelnik spostrzega to z czasem). Mówiłem dawniej, że umiem tylko zmyślać, ale nie zastanowiłem się dostatecznie nad tym problemem i dlatego wyrażałem się tak niedokładnie. Bo właściwie nie potrafię zmyślać. Ktoś czy coś we mnie sprawia, że widzę postacie i że widzę je w akcji. (...) W powieści, nad którą pracuję, obrazy są tak wyraźne, że nie pozwalają na żadne wyjaśnienia psychologiczne i tak jest zapewne lepiej.

29 października. Moja powieść posuwa się powoli naprzód, może zbyt wolno, ale tą ceną okupuję jasność obrazu. Mógłbym codzień zapisać wiele papieru, ale wtedy **zmyślałbym** i w pewnym sensie bym kłamał, zamiast notować możliwie najwierniej to co widzę. Często zdaje się, że widzę tylko róg fartucha, odosobniony gest czy dolną część twarzy, że słyszę zaledwie parę słów; kiedy indziej jest mi dana cała scena przepełniona szczegółami, których nie mogę zużytkować i między którymi muszę wybierać. Gdyby ktoś badał moje rękopisy, to przekonałby się, że wszystkie skreślone ustępy zostały stworzone przez chęć szybszego posuwania się i dotarcia do prawdy, o której wiedziałem, że czeka mnie nieco dalej. Któż dziś tak pracuje? Zadałem to pytanie młodemu krytykowi belgijskiemu, p. Théo Louis, bo mi się zdawało, że go to interesuje. Odpowiedział mi, że o ile wie, widzenie postaci nie wydaje się dzisiejszym pisarzom rzeczą ważną, bo bardziej zależy im na ideach, niż na obrazach, „ale — dodał — wprawdzie pana bohaterowie rzadko wyrażają to co się nazywa ideami, jednak książki pana zawierają pewien światopogląd, pewną filozofię.

— Możliwe. Współczesnym pisarzom nie mam za złe tego, że wyrażają idee w stworzonych przez siebie postaciach. Nie, mam im za złe to, że idee nie należą do postaci, które je wypowiadają, tylko do autora. Kiedy bohater którejś z wielkich powieści rosyjskich powierza nam swe myśli, przemawia wtedy jego ciało i dusza, a czytelnik mu wierzy; natomiast jakże się nie spostrzec, że postacie tego czy innego pisarza współczesnego są tylko jego rzecznikami i że ich wypowiedzi można by pozamieniać?"

Czytelnik widzi dokładnie tyle, ile sam pisarz widział i zdolny jest pokazać; czytelnik wyczuwa instynktownie, kiedy pisarz widzi, a kiedy nie widząc opowiada bujdy.

T. L. pyta mnie, czy religia wywarła wpływ na to co piszę. Odpowiedziałem, że tak, z pewnością, ale że nie chcę, aby to było widoczne, bo nie mam zaufania do powieści, które trącą apologetyką. Mój rozmówca nalega — doskonale stawia pytania — chce wiedzieć, czy sądzę, że religia jest obecna w moich książkach. Cieszę się, że mnie zmusza do wyjaśnienia tych spraw. Odpowiadam, że moja pierwsza książka (pamflet przeciw katolikom) miała za temat religię, a moja pierwsza opowieść **(Le Voyageur sur la Terre)** była mocno zabarwiona mistycyzmem, co jest dość charakterystyczne. Jacques M. twierdził zawsze, że moje książki są książkami człowieka żyjącego w sferze mistycznej (rozumiał to w szerokim znaczeniu słowa) i wydaje mi się, że rzeczywiście jest w nich pewien głęboki niepokój, którego człowiek niewierzący nie byłby w stanie odczuć. Nie usiłuję pisać powieści katolickich. Byłoby mi to wstrętne. Ale sądzę, że wszystkie moje książki, choć mogą się wydawać bardzo dalekie od zwykłej i tradycyjnej religijności, są jednak religijne w swej istocie. Niepokój i samotność bohaterów streszczają się prawie zawsze w tym co nazwałem, zdaje się, trwogą życia na świecie pod wszelkimi postaciami...

przekł. autoryzowany
Zygmunt Olszyna-Marzys

*) Sformułowanie powyższe jest wielkim skrótem myślowym ubranym w formę literacką. Dokładne wyjaśnienie powyższego problemu, zgodnie z naunauką Kcścioła, wymagaołby dłuższego wywodu, który niebawem pojawi się na łamach ŻYCIA.

**) Moira.

WŁADYSŁAW FACCHINETTI

WOBEC PROCESU BEATYFIKACYJNEGO PIUSA IX

Już Leonowi XIII przedkładano prośby o rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego jego poprzednika na Stolicy Piotrowej, papieża Piusa IX. Prośb takich nie zaprzestano kierować do Stolicy Świętej aż do czasów obecnego pontyfikatu papieża Piusa XII. Od roku 1907, za pontyfikatu św. Piusa X, w Kurii Rzymskiej, jako też w kuriach tych diecezyj, gdzie działał Pius IX przed wstąpieniem na Stolicę Piotrową, rozpoczęto przeprowadzanie procesów o sławie jego świętości, jego pismach i w zakresie stwierdzenia zgodnie z dekretem Urbana VIII, że dotychczas nie oddawano kultu publicznego Piusowi IX. Procesy te pokończono do roku 1922. W roku zaś 1954, w przeddzień zakończenia pierwszego w dziejach Kościoła Roku Maryjnego, który obchodziliśmy w setną rocznicę ogłoszenia przez Piusa IX dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny, Ojciec św. Pius XII podpisał polecenie wprowadzenia sprawy beatyfikacyjnej Piusa IX do św. Kongregacji Rytów.

Dekret św. Kongregacji z 7 grudnia 1954 zaczyna się w znamienny sposób: „Ponieważ Duch Święty przepowiedział ustami Symeona o Chrystusie: 'Ten położony jest na znak, któremu sprzeciwiać się będą' (Łuk. 2, 34); co więcej, sam Jezus stwierdził: 'Kto chce iść za Mną, niech zaprze samego siebie, a weźmie krzyż swój na każdy dzień i niech idzie za Mną' (Łuk. 9, 23); i On też znowu powiedział: 'Jeśli Mnie prześladowali, i was prześladować będą' (Jan 15, 20), jest zgoła konieczne, by takie samo na tym świecie było położenie jego naśladowców, zwłaszcza zaś Papieży, którzy jako Namiestnicy Chrystusowi podlegają losowi Jego Mistycznego Ciała, którego są na ziemi głową. To dokonało się najpełniej na osobie Papieża Piusa IX."

*

Pius IX zasiadał na Stolicy Piotrowej w latach 1846-1878. Jest to najdłuższy w dziejach Kościoła pontyfikat: trwał 31 lat, 7 miesięcy, 22 dni.

Czasy, w których przyszło żyć i działać Piusowi IX, były logicznym i konsekwentnym następstwem wypadków rozgrywających się od XIV wieku. Warto przyjrzeć się temu jakby z lotu ptaka.

NA DRODZE DO KOMUNIZMU

Od V wieku wytwarzał się uniwersalizm średniowieczny, uniwersalizm chrześcijański, który do swego szczytu doszedł w wieku XIII, jak powiedziano, największym dotychczas stuleciu dziejów ludzkości: wszystko miało tworzyć jedną całość zgodną i zharmonizowaną; wszystko i wszyscy mieli służyć Bogu, cześć Mu oddawać winne były nie tylko indywidualnie osoby ludzkie, ale każda społeczność. Rodzina, cech, szkoła, uniwersytet, państwo, Kościół — miały tę cześć oddawać jako społeczność, zbiorowo; między wiarą katolicką a filozofią i wszystkimi innymi naukami nie mogło być rozdźwięku, bo wszelka wiedza wyszła z tego samego źródła, co wiara, aczkolwiek obie biorą swój początek w inny sposób.

Koniec wieku XIII i wiek XIV oglądają legistów, Filipa IV Pięknego, Williama z Ockham, niewolę awiniońską papieży, „Defensor pacis", dzieło głoszące omnipotencję państwa, Złotą Bullę Karola IV, Schizmę Zachodnią, Wicleffa, Husa. Wiek XV patrzył na Sankcję Pragmatyczną Karola VII ujarzmiającą Kościół we Francji, ruch koncyliarny głoszący na Soborach w Konstancji i Bazylei wyższość Soboru nad Papieżem.

W wieku XVI indywidualizm Lutra i innych reformatorów doprowadził do odrzucenia powagi i do indyferentyzmu. Odrzucono powagę Kościoła nauczającego; Pismo Święte uczyniono źródłem i dowodem indywidualnych poglądów dogmatycznych i etycznych, które głoszono jakoby pod natchnieniem Ducha Świętego, oświecającego każdego indywidualnego człowieka czytającego Pismo Święte. Na miejsce Objawienia postawiono rozum naturalny (ratio), dając początek racjonalizmowi; niemożność ustalenia, przy indywidualności rozumów, jednej prawdy, doprowadziła do sceptycyzmu, zaprzeczania w ogóle nie tylko możliwości poznania prawdy absolutnej, obiektywnej, ale nawet jej istnienia; zdegradowano Chrystusa do roli tylko człowieka genialnego; nie umiejąc wytłumaczyć sobie rozumem, nie oświeconym wiarą, cierpienia i zła w świecie, zwątpiono w Opatrzność Boską, uznając jedynie, że istnieje Bóg nie interesujący się swymi stworzeniami (deizm), co dalej doprowadziło do zupełnego odrzucenia wiary w Boga: ateizmu rewolucji francuskiej i wojującego ateizmu socjalistyczno-komunistycznego. Przestano doceniać znaczenie życia kontemplacyjnego i zakonów kontemplacyjnych. Pojęcie powołania ograniczono do powołania duchownego czy zakonnego, zapominając, że każdy człowiek ma swe powołanie od Boga.

W ten sposób spod wpływu chrześcijaństwa, jego dogmatów i niezmiennych zasad etycznych usuwano po kolei wszystko: życie międzynarodowe, politykę wewnętrzną państw, prawodawstwo, życie gospodarcze, filozofię, naukę, sztukę, a w końcu nawet rodzinę i jednostkę ludzką. Na miejsce średniowiecznego teocentryzmu występował coraz wyraźniej antropocentryzm i egocentryzm: nie to, co odpowiada Bogu, ale to, co odpowiada człowiekowi i mnie osobiście, staje się normą postępowania. Mimo ostrzeżeń Papieży, biskupów, duchowieństwa i wielu osób świeckich, oceniających trzeźwo sytuację i zatroskanych o dusze ludzkie — świat zdążał do ateistycznego komunizmu.

Prawie 60 lat temu, wielki historyk belgijski Godfried Kurth w książce, która miała wiele wydań, pisał o Kościele w godzinach przełomowych historii ludzkości „na zakrętach dziejów", omawiając ich sześć: Kościół wobec Żydów, barbarzyńców, feudalizmu, neo-cezaryzmu, odrodzenia, rewolucji. Zapewne dziś pisałby (zmarł w 1916) o siódmym zakręcie dziejów, wobec którego Kościół stanął za Piusa IX i następnych Papieży i stoi po dziś dzień: Kościół wobec komunizmu.

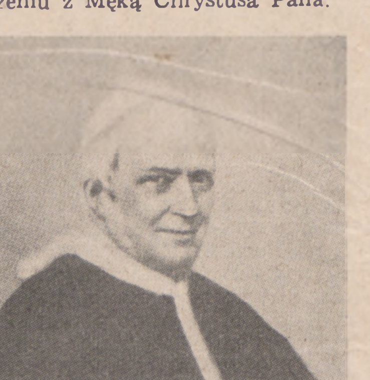
Trzeba na chlubę Kościoła katolickiego i jego wielkich papieży Piusa IX i jego następców stwierdzić, że Kościół katolicki ostrzegał świat przed komunizmem, zanim: 1) ogłoszony został (w roku 1848) Manifest Komunistyczny,2) zanim powstała zorganizowana (w roku 1864) pierwsza międzynarodówka komunistyczna i 3) zanim ujrzał światło dzienne (w roku 1867) „Kapitał" Marksa. Pius IX już bowiem w roku 1846, zaraz po wstąpieniu na Stolicę Piotrową, a więc przeszło 100 lat temu, potępił komunizm w encyklice „Qui pluribus", a Leon XIII w roku 1878, a więc przeszło 80 lat temu, w encyklice „Quod Apostolici muneris". Obaj ci Papieże określali komunizm tak, jakby dzisiaj nań patrzyli. Pius IX pisał: „Ta niegodziwa doktryna zwana komunizmem, jak najbardziej przeciwna samemu prawu naturalnemu, która raz przyjęta doprowadziłaby do radykalnego przewrotu praw, rzeczy, własności wszystkich i upadku samej nawet społeczności ludzkiej". A Leon XIII nazwał komunizm „zarazą niszczycielską, która atakuje rdzeń społeczności ludzkiej, doprowadzając ją do ruiny".

Przed drugim, niemniej groźnym niebezpieczeństwem zagrażającym cywilizacji i kulturze chrześcijańskiej, mianowicie przed masonerią, Kościół katolicki ostrzegał od przeszło 200 lat. Od roku 1738 należenie do masonerii jest wzbronione katolikom pod karą ekskomuniki. Po tym potępieniu masonerii przez Klemensa XII przyszły zakazy Benedykta XIV z 1751 roku, Piusa VII z 1821, Leona XII z 1826, Piusa IX z 1864, Leona XIII z 1884. Obecny Kodeks Prawa Kanonicznego, w kanonie 2335, utrzymuje w mocy zakaz należenia do masonerii, pod karą ekskomuniki.

PONTYFIKAT PAPIEŻA PIUSA IX

Za Piusa IX moce piekielne rozpętały się nad światem.

Knowania masonerii; kasowanie przywileju forum dla duchowieństwa; znoszenie przez państwa zakonów i zgromadzeń zakonnych (w samych np. Włoszech zostało zamkniętych 331 domów zakonnych z 4.500 zakonnikami); „Kulturkampf" w Niemczech; wprowadzanie tak zwanych ślubów cywilnych; podkopywanie zdrowej filozofii przez takie kierunki jak racjonalizm, ontologizm, naturalizm, kantyzm, hegelianizm, pozytywizm, materializm; zaatakowanie podstaw chrześcijaństwa przez Renana; popularyzacja i gloryfikacja błędów przez powieściopisarzy, jak Dumas ojciec i syn, Sue, George Sand i inni; zagrożenie życia społecznego przez socjalizm — oto niezupełny wykaz zła, któremu przeciwstawiać się był zmuszony Pius IX i czego heroicznie dokonał, cierpiąc duchowo zda się ponad miarę i jednając sobie wielką sławę świętości. Na dzień przed zajęciem resztek Państwa Kościelnego, Rzymu, wieczorem 19 września Pius odwiedził Scala Santa, co stało się symbolem jego męki w złączeniu z Męką Chrystusa Pana.



Ojciec św. Pius IX

Za pontyfikatu Piusa IX na plan pierwszy wysunęły się dwa kapitalne zagadnienia: Kościół i państwo, wiara i wiedza. Obydwa te zagadnienia zostały przez Piusa IX oświetlone doktrynalnie, i katolikom i światu zostały wskazane wyraźne i zdecydowane zasady. Stosunek obu władz został omówiony przez Piusa IX w encyklice „Etsi multa luctuosa" z 21 listopada 1873, w encyklice „Quod nunquam" z 5 lutego 1875, w alokucji „Luctuosis exagitati" z 12 marca 1877; w słynnym zaś Syllabusie z roku 1864 zestawione zostały z poprzednich alokucji, encyklik i innych pism Piusa IX tezy (nry 39-55) zawierające błędy dotyczące władzy państwowej, rozważanej czy to w samej sobie czy też w stosunku do Kościoła.

Zagadnienie: wiara i wiedza, które wystąpiło z całą jaskrawością z powodu rozwoju nauk, omówił Pius IX w encyklice „Qui pluribus" z 9 listopada 1846, w alokucji „Singulari quadam" z 9 grudnia 1854, w liście „Gravissimas inter" z 11 grudnia 1862, w liście „Tuas libenter" z 21 grudnia 1863 i w tezach 1-18 Syllabusu z 1864 roku. Ponadto Sobór Watykański w konstytucji dogmatycznej o wierze katolickiej poświęcił rozdział IV wierze i rozumowi (Constitio dogmatica de fide catholica, cap. 4 de fide et ratione).

*

Działalności Piusa IX, głoszącego prawdę Bożą i karcącego w miarę potrzeby z mocą zalecaną przez św. Pawła w liście do Tymoteusza, towarzyszyło użycie nieodzownej w Kościele broni duchowej: modlitwy.

Zaznacza się coraz bardziej wzrastające nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusowego, Matki Najświętszej i św. Józefa.

Uroczystość Boskiego Serca rozciągnął Pius IX w 1856 roku na cały Kościół, a w encyklice w 1875 roku polecał wiernym nabożeństwo do tegoż Najświętszego Serca i nazywa je potężnym środkiem na zwalczanie zła czasów dzisiejszych. Znamienne było, że w stolicy Francji przystąpiono do budowy kościoła-bazyliki Najświętszego Serca na Górze Męczenników (Montmartre); budowę uchwaliło 24 lipca 1873 roku Zgromadzenie Narodowe na wniosek ministra Simona 389 głosami przeciwko 146.

Pius IX sam mając wielkie nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny nie zaprzestał wzywać wiernych do zanoszenia modłów do Niej, a w 1854 ogłosił całemu światu ku wielkiej radości całego Kościoła dogmat o Niepokalanym Jej Poczęciu.

Cześć oddawana św. Józefowi także się wzmogła, a to na skutek ogłoszenia go przez Piusa IX Patronem Kościoła Powszechnego, co stało się zresztą na prośby całego świata katolickiego.

*

Pontyfikatowi Piusa IX, obfitującemu w krzyże spadające z różnych stron na Kościół katolicki, nie brakowało jednak chwil jasnych, jako też zapowiedzi początków odrodzenia.

Na pierwszym miejscu należy wymienić objawienia Matki Boskiej w La Salette (1846), Lourdes (1858) i Pontmain (1871).

Pierwszorzędną doniosłość miał Sobór Watykański z jego konstytucjami dogmatycznymi o wierze katolickiej i o nieomylności Papieża.

Słynny Syllabus, czyli zebranie w jedną całość błędów współczesnych, oświetlił drogę umysłom spragnionym prawdy wśród zamieszania spowodowanego przez najprzeróżniejsze kierunki filozofii i błędne pojęcia i zasady dotyczące wszystkich dziedzin życia ludzkiego.

Przywrócenie hierarchii kościelnej w Anglii i Holandii wskazywało na postępy osiągnięte w odrodzeniu katolicyzmu w krajach, w których przez kilka wieków Kościół katolicki był prześladowany i było zapowiedzią dalszego rozwoju.

Rozkwit zakonów kontemplacyjnych zapewniał nowe siły i nową moc Kościołowi poprzez modlitwę, pokutę i umartwienie, a powstające nowe zgromadzenia zakonne przysparzały Kościołowi zastępów idących na podbój dusz Chrystusowi przez różnoraką działalność miłosierną.

Opór bohaterski, stawiany przez nie dających się ugiąć i złamać katolików w krajach cierpiących prześladowanie, był posiewem nowych chrześcijan.

Życie religijne wzmacniane było przykładem mężczyzn i niewiast wybitnych świętością, spośród których niejedni dostąpili już czci na ołtarzach, beatyfikowani lub kanonizowani w wieku XX, a procesy beatyfikacyjne innych obecnie się toczą. Wśród tych Świętych niektórzy dokonali tak wiele cudów w leczeniu ciał i dusz, że życie ich stało się prawie jednym nieustannym cudem: to wstrząsało niejednym sumieniem i stawało się dla jednych pocieszającym, a dla drugich niepokojącym wskaźnikiem, że oprócz tego co przyrodzone istnieje także coś nieogarnionego zmysłami, to co nazywamy nadprzyrodzonym.

Nie brakowało też pontyfikatowi Piusa IX wielkich biskupów i kapłanów, uczonych wyznających wiarę i konwertytów niejednokrotnie nawróconych przez wyraźną ingerencję Boga lub Matki Boskiej.

Rozpoczynał się też katolicki ruch społeczny, co świadczyło, że odrodzenie katolicyzmu nie ograniczało się tylko do życia osobistego i rodzinnego.

Zaznaczał się również coraz żywszy ruch misyjny i w innych częściach świata pozyskiwał wiernych, którzy mieli wypełnić miejsca opróżnione przez tych, co w Europie odeszli od Kościoła katolickiego.

*

Wiele już pisano o Piusie IX i wiele się jeszcze napisze, zwłaszcza w związku z toczącym się procesem beatyfikacyjnym. Wiele się będzie pisać, gdy Pius IX zostanie, jak ufamy, policzony w poczet Błogosławionych i Świętych. Chwałą dla polskiego narodu pozostanie fakt, że świątobliwy biskup Przemyśla, Józef Pelczar, (o możliwości jego beatyfikacji zaczyna się mówić) napisał wielkie dzieło (3 tomowe) pod tytułem: „Pius IX i jego pontyfikat", które było wzięte pod uwagę przy wszczynaniu procesu beatyfikacyjnego Piusa IX. Napisał też drugą książkę o Piusie IX i Polsce.

Nie można streścić lepiej działalności Piusa IX i określić znaczenia jego pontyfikatu — niż słowami dekretu św. Kongregacji Rytów z 7 grudnia 1954 i słowami Piusa XII z listu z 13 czerwca 1946 do biskupa Senigalii, Umberto Ravetta, wysłanego z racji setnej rocznicy wstąpienia Piusa IX na Stolicę Piotrową.

„...mężnie stawiał opór przeciwnikom, i swoim następcom drogę otwarł do zwycięstwa: dlatego nieprzyjaciele Kościoła zostali zmuszeni do poddania się; i w ten sposób, heroicznie znosząc przeciwności, sam zgotował sobie wielką sławę świętości, jak to widać także z rozważania jego życia."

„...znakomity ów Rządca katolickiej owczarni toczył bój z niezwyciężonym nigdy umysłem za prawdę i sprawiedliwość i blaskiem swych cnót i rozległością dokonanych czynów tak bardzo uświetnił tę Stolicę Apostolską."

Władysław Facchinetti

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

ENCYKLIKA O ŚPIEWIE GREGORIAŃSKIM

Ojciec św. Pius XII wydał nową encyklikę pod tytułem „Musicae Sacrae Disciplina" — czyli dyscyplina muzyki liturgicznej. Ojciec św. poleca zaprowadzenie jednolitego śpiewu gregoriańskiego we wszystkich kościołach całego świata podczas urzędowych obrzędów liturgicznych. W ten sposób obrzędy kościelne będą jednolite w całym świecie. Encyklika dopuszcza w kościołach muzykę i śpiew polifoniczny jak również klasyczne dzieła muzyczne. Ponadto Papież aprobuje używanie oprócz organów również takich instrumentów jak skrzypce i harfa. Zgodnie z nową encykliką nie będzie można zastępować śpiewu gregoriańskiego w języku łacińskim śpiewem w języku narodowym za wyjątkiem tych kościołów, gdzie taki zwyczaj istnieje już od lat. Jest to 30 encyklika obecnego Papieża, skierowana do patriarchów, arcybiskupów i biskupów Kościoła Powszechnego.

Krishna Menon o orędziu papieskim. Przebywający obecnie w szpitalu w Nowym Jorku ambasador indyjski Krishna Menon wypowiedział się z wielkim uznaniem o ostatnim orędziu wigilijnym Ojca św. Piusa XII. „Przemówienie Papieża — powiedział Menon — było najlepszym lekarstwem, jakie człowiek mógłby otrzymać. O zasady te indyjski rząd walczy od trzech lat. Obecnie dochodzi nowy potężny głos w tej samej sprawie."

„Papież, nie będący politykiem ani też ekspertem rozbrojeniowym, zwrócił światu uwagę na wielki problem ludzkości, jakim jest doniosłość ostania się rasy ludzkiej — mówił dalej Menon. — Jeśli Papież, który z dala trzyma się od międzynarodowych kłótni, porusza tę sprawę, to tylko dlatego, by inni poczęli ją dyskutować na serio."

O beatyfikację Brata Alberta. Od dłuższego już czasu karmelici bosi w Krakowie prowadzą starania o beatyfikację brata Alberta (Adama Chmielowskiego). W roku bieżącym, kiedy przypada 110-ta rocznica urodzin Brata Alberta (1846) oraz 40-ta rocznica jego śmierci (1916), starania o beatyfikację będą zwiększone przez uroczyste nabożeństwa, odprawiane w tej intencji w Krakowie.

HISTORIA OBRAZU JASNOGÓRSKIEGO

Staraniem Koła Religijno-Rycerskiego N. M. P. Marianum odbędzie się w poniedziałek, 30 stycznia o godz. 7.30 w Domu Kombatanta, 18 Queens Gate Terrace, S.W.7, odczyt red. J. Tokarskiego pt. „Historia Obrazu Jasnogórskiego".

TADEUSZ FELSZTYN (1)

ROLA MATEMATYKI W NAUKACH PRZYRODNICZYCH

I.

Zastosowanie matematyki do opisu zjawisk przyrody zawdzięczamy Grekom. W dążności do ujęcia w jedną zwartą całość, w jeden system, rozrzuconych i oderwanych strzępów wiadomości, jakie otrzymali w spadku od Babilonu i Egiptu, matematyka wydawała się Grekom środkiem najskuteczniejszym, najlepiej ujmującym to, co w przemijalności i zmienności zjawisk jest stałe, pewne, niezmienne. Pytagoras nawet gotów był przypisywać liczbom charakter boski.

W tym dążeniu jednak do syntezy Grecy, nie rozumiejąc jeszcze — bo było to dopiero zdobyczą czasów nowożytnych — że synteza musi być następstwem uprzedniej analizy, a poznanie całości — wynikiem dokładnego poznania tworzących ją części, dążyli do takiej matematyczno-fizycznej teorii przyrody, w której by istniała **doskonała** zgodność między teorią matematyczną, a rzeczywistością fizyczną. Odpowiedź widzieli w **geometrii**, znacznie wyżej za ich czasów rozwiniętej, niż arytmetyka, przypisując np. niektórym częściom rzeczywistego świata, ciałom niebieskim, doskonałe kształty geometryczne. W tym poszukiwaniu doskonałej teorii Grecy — poza nielicznymi wyjątkami, jak np. Archimedes i częściowo Arystoteles — gardzili badaniem doświadczalnym, które dać mogło jedynie pewne **przybliżenie** praw przyrody, nigdy zaś ujęcie doskonałe. Siłą rzeczy takie podejście sprowadzić musiało badanie przyrody u Greków, a tym bardziej i u większości ich następców, na bezdroża bezpłodnej spekulacji.

Pierwszy dopiero Galileusz zapoczątkował poszukiwanie praw przyrody na drodze ustalania praw przybliżonych i ich ekstrapolacji w postaci związków matematycznych, które rzeczywistość miała potwierdzać jedynie w sposób mniej lub więcej dokładny. Zarzucając więc dążenie do znalezienia systemu bezwzględnie zgodnego z rzeczywistością i zadowalając się szukaniem praw coraz bardziej przybliżających się do niej, Galileusz zapoczątkował metodę, która dziś stanowi zasadniczą podstawę wszystkich teoryj przyrodniczych, w szczególności w fizyce, astronomii i chemii. Tym samym jednak obserwacje przyrodnicze, stając się podstawą praw przybliżonych, wyrażanych liczbowo, sprowadzają każdą obserwację do **pomiaru**. Z całej więc różnorodności zjawisk abstrahują tylko to, co w nich jest **mierzalne**. Zaczęło się więc błędne koło. Aby ustalać prawa przybliżone, należało posługiwać się wielkościami mierzalnymi. Te wielkości mierzalne ze swej strony zaczęły coraz bardziej zacieśniać nasze wiadomości o przyrodzie nieomal wyłącznie do praw matematycznych, skutkiem czego zaczęło się coraz bardziej posunięte identyfikowanie przyrody z tworami matematycznymi, jakie nauka wprowadziła dla syntezy poszczególnych obserwacji liczbowych i łączenia ich w „prawa przyrody".

Warto zauważyć, że ta identyfikacja stworzonych przez fizyków dla opisu przyrody tworów myślowych, z samą przyrodą, najsilniej uwydatniała się w zeszłym stuleciu stając się wspólną podstawą myślową wszystkich przyrodników owego czasu. Apogeum swe znalazła ona w teoriach materializmu dialektycznego, który owe fikcje matematyczne uznał za „obiektywną rzeczywistość", ba nawet za rzeczywistość jedyną.

Równocześnie jednak nastąpiła algebraizacja nauk przyrodniczych. Metody algebraiczne bardziej nadają się do wyrażania przybliżonych związków i praw liczbowych, niż geometryczne. Nie dziw więc, że zarówno pierwsze prawa ruchu, wprowadzone przez Galileusza, jak i późniejsze podstawowe prawa ruchu Newtona, są wyrażone w postaci algebraicznej, a nie geometrycznej. Rozwój rachunku różniczkowego coraz bardziej wiódł w tym kierunku fizykę, a za nią i inne nauki przyrodnicze, co z kolei pociągnęło za sobą identyfikowanie przyrody z obdarzonymi masą punktami matematycznymi, tzw. punktami materialnymi, przedmiotami owego algebraiczno-różniczkowego opisu przyrody. W ten sposób zrodził się mechanistyczny model przyrody, który stał się podstawą pojęć przyrodniczych zeszłego stulecia, jego determinizmu i materializmu, a tym samym ojcem współczesnego mu materializmu dialektycznego. I choć materialiści dialektyczni odżegnywują się dziś od niego, uważając go za „dawno przeżyty etap rozwoju nauki" (B. str. 230), to jednak historycznie materializm dialektyczny ma swe korzenie w mechanistycznym modelu przyrody. Tym samym wszystkie jego tezy, traktowane przez współczesnych materialistów dialektycznych jako niewzruszalne dogmaty, tkwią swym zakresem pojęciowym w tym właśnie modelu mechanistycznym.

Mechanistyczny model przyrody nie mógł się jednak długo utrzymać w świetle nowych odkryć fizycznych. Już Faraday wprowadził pole elektryczne, a Maxwell w tymże polu szukał podstawy sił elektrycznych i magnetycznych. Lorentz wreszcie w swej teorii elektronowej uczynił pole podstawą zjawisk elektromagnetycznych nawet w mikro-fizyce, kładąc w ten sposób pierwsze podstawy pod nowoczesne teorie mikrofizyczne. Geometryzacja fizyki poczęła więc coraz bardziej wypierać jej algebraizację, a tym samym i mechanistyczny model wszechświata z zeszłego stulecia, co znalazło swój punkt kulminacyjny w chwili, gdy Einstein w swej ogólnej teorii względności sprowadził zjawiska ciążenia do geometrii czasoprzestrzeni.

Z chwilą pojawienia się mechaniki falowej i mechaniki kwantowej, poruszający się elektron stał się tylko czołem fali, a więc tworu geometrycznego, czy też nawet kwantowym polem elektrono-pozytronowym, atom zaś układem fal stojących; cząsteczka sprowadza się coraz bardziej do punktów osobliwych, czy też zaburzeń pola, a opis zjawisk mikrofizycznych polega na funkcji falowej „psi", a więc znów na wielowymiarowym tworze geometrycznym. W rezultacie tych przekształceń uchwytny „materialny" punkt znikł z opisu przyrody, a miejsce jego zajęły coraz bardziej zawiłe, coraz dalej odbiegające od naszych wrażeń zmysłowych, geometryczne koncepcje „pola".

Fakt ten pociągnął za sobą daleko idące konsekwencje i w interpretacji przyrody. Ci przyrodnicy, którzy przyzwyczaili się twory myślne teoryj matematyczno-fizycznych uważać za rzeczywistość, ba rzeczywistość jedynie prawdziwą, przerzucili swą koncepcję rzeczywistości i na nie. A że zdrowo myślącemu człowiekowi trudno uznać wielowymiarową i zespoloną funkcję pola za „obiektywnie istniejący przedmiot", więc z konieczności rzeczy zwolennicy tego poglądu przejść musieli do koncepcji idealistycznej, uważającej za jedyną rzeczywistość świat naszych myśli. Świat materialny natomiast, który zmysły nasze poznają, stał się dla nich jedynie odbiciem tego świata idealnego, czymś w rodzaju platońskich cieni. Najkonsekwentniejszym może przedstawicielem tego kierunku jest Jeans, choć wyraźne tendencje w tym kierunku widać np. i u Eddingtona.

Filozofowie, stojący na gruncie realizmu, w pierwszym rzędzie filozofowie szkoły tomistycznej, znaleźli inne wyjście z tych rzekomych sprzeczności, jak to opisałem szczegółowo w artykule „Model a rzeczywistość (ŻYCIE nr 353 i nr 354). Stwierdzając mianowicie, że twory myślne teoryj matematyczno - fizycznych są tylko **modelem**, mającym nam ułatwić operowanie równaniami wyrażającymi **stosunki** między rzeczami istniejącymi niezależnie od myśli ludzkiej, że więc to są „entia rationis cum fundamento in re", a więc byty myślne, a nie byty rzeczywiste, — stoją oni na twardym gruncie realizmu, uznającego byty niezależne od myśli ludzkiej i odróżniającego to, co w naszym poznaniu i opisie świata jest rzeczywistością, a co tylko tworem myślnym, mającym nasz opis uprościć.

Jeżeli więc spojrzymy na świat z tego punktu widzenia, to stanie się oczywiste, że rzeczywistość nie daje się sprowadzić wyłącznie do tego, co jest mierzalne, co może być przedmiotem rozważań o charakterze matematycznym. Dla człowieka, który zdaje sobie sprawę z istnienia, poza rzeczywistością materialną, również i rzeczywistości duchowej, poza przyczynami sprawczymi, również i przyczyn docelowych, jasne jest, że najbardziej nawet zawiłe wzory matematyczne oddać mogą część tylko rzeczywistości i to jedynie pewien tej części aspekt. Jest więc dla niego jasne np., że woli i myśli ludzkiej nie da się wyrazić całką o nie wiedzieć ilu wymiarach, czy też równaniem różniczkowo-całkowym nie wiedzieć jakiego rzędu. Z tego więc punktu widzenia sprowadzanie nauki o żywej przyrodzie, a zwłaszcza nauki o człowieku tak indywidualnym, jak i w jego życiu zbiorowym. do czystej teorii matematycznej (jak to usiłuje osiągnąć wielu psychologów — por. np. J. Horzelski „Potrzeba psychologów", Kultura nr 93-94 — i socjologów) jest zubożeniem rzeczywistości i tym samym z konieczności rzeczy dochodzeniem do wniosków, których rzeczywistość nie potwierdza i potwierdzić nie może.

Jeśli jednak wyjść z założenia, jak to dziś czyni wielu uczonych stojących na gruncie materialistycznym (choć słowo to w chwili obecnej jest mocno niepopularne), że jedyną rzeczywistością jest świat materialny, a więc to, co poznać można metodami nauk przyrodniczych, w takim razie matematyzacja nauk przyrodniczych staje się wyjściem oczywistym, ba, jedynie logicznym. Wedle materialistów bowiem cała przyroda — to jedynie wynik działania sił fizycznych, do których dadzą się sprowadzić w ostatecznym rezultacie wszystkie zjawiska chemiczne, biologiczne, a nawet psychiczne. Zjawiska fizyczne zaś sprowadzają się bez reszty do wzorów matematycznych. W konsekwencji więc wszystkie zjawiska rzeczywiste są jedynie mniej lub więcej złożoną kombinacją podlegających matematyzacji zjawisk fizycznych, a tym samym i one — w konsekwencji — muszą dać się ująć we wzory matematyczne. Być może, że zawiłość zjawisk jest taka, iż nie potrafimy **jeszcze** wyrazić we właściwy sposób rządzących nimi praw matematycznych, tym niemniej jednak prawa takie istnieją i jest rzeczą nauki coraz bardziej się do nich przybliżać.

II.

Stanowisko takie nie może jednak zadowolić materialistów dialektycznych. Po pierwsze, bowiem w czasie, gdy w fizyce panował model mechanistyczny, można było ostatecznie przyjąć, że owe punkty materialne, które stanowiły w nim podstawę wszechświata, były **odbiciem** (jak to twierdził Lenin) jakiejś obiektywnej rzeczywistości. Trudniej nieco było tu z siłami, czy też energią, ale przy odrobinie wyobraźni można było ostatecznie i je upersonifikować. Z chwilą jednak, gdy podstawą matematycznego opisu przyrody stały się pola i opisujące je wielowymiarowe funkcje zmiennej rzeczywistej i urojonej, przypisywanie im „bytu rzeczywistego", obiektywnego istnienia, stało się niezmiernie trudne do wmówienia w najbardziej nawet doktrynalne umysły. Nie dziw więc, że zwolennicy materializmu dialektycznego czynią rozpaczliwe wysiłki, aby znaleźć wyjście z tego dla nich niemiłego położenia.

(Ciąg dalszy nastąpi)

LITERATURA FRANCUSKA

MONUMENTALNA HISTORIA KOŚCIOŁA

Historia Kościoła Daniela Ropsa, członka Akademii Francuskiej, obejmuje w całości sześć tomów w ośmiu częściach. Po dwóch wstępnych, Historii Świętej: „Le Peuple de la Bible" i „Jésus et son temps", ukazały się dotychczas kolejno: I. „L'Eglise des Apôtres et des Martyrs"; II. „L'Eglise des Temps barbares"; III. „L'Eglise de la Cathédrale et de la Croisade". Po tym wspaniałym fresku historii Kościoła w średniowieczu, otrzymaliśmy w 1955 dzieje Kościoła w okresie Odrodzenia i Reformacji: IV. „L'Eglise de la Renaissance et de la Réforme. Première partie: la Réforme Protestante (str. 615); deuxième partie: La Réforme Catholique (str. 565). (W serii: „Les grandes Etudes historiques. Ed. Arthème Fayard, Paris.)

Jako historyk zawodowy, Daniel Rops, każdy okres życia Kościoła i każde ważniejsze w nim wydarzenie traktuje w związku z dziejami powszechnymi Europy. Czyni to z wielkim zasobem wiedzy i krytycyzmu, wielką umiejętnością wydobywania cech rzucających charakterystyczne światło na ludzi, na ich idee i czyny, tak że chwilami ma się wrażenie, że czytamy dzieje kultury Europy, a nie tylko dzieje Kościoła. Dał on tym dowód rozległości horyzontów i pojmowania Kościoła jako instytucji żywej, nie oderwanej od spraw państw i polityki ich władców, od osiągnięć uczonych i artystów, ale która zawsze z nimi współpracuje i po ojcowsku im patronuje w pochodzie dziejów.

Drugą uderzającą cechą tego opracowania jest dążenie do prawdy, nawet kosztem ryzykownej niekiedy szczerości, nieukrywania ciemnych stron dziejów i ujemnych rysów charakteru niektórych papieży. Nie ma u Ropsa mdłych pochwał, ani pomijania w milczeniu błędów czy zbrodni. Ten wielki dziejopis z taką samą obiektywną dokładnością portretuje mądrych i świętych papieży, jak i awanturników, jak antypapież Bonifacy XIII i wielkich grzeszników zasiadających na Stolicy Piotrowej. Nie cofa się przed nazywaniem ich czynów po imieniu. Jakże surowo krytykuje atmosferę soboru w Konstancji! Tym sposobem wytrąca broń z ręki nawet najbardziej złośliwym krytykom dziejów Kościoła. Tak otwarte przedstawienie zamętu, w jaki Kościół popadł w okresie Wielkiej Schizmy w XIV i XV wieku, oraz upadku moralnego w pierwszej połowie XVI wieku dowodzi niezniszczalności Kościoła, który te upadki i burze zdołał przetrwać, bo czuwała nad nim Moc Najwyższa, zdolna jego nawę z największej burzy dziejowej cało wyprowadzić.

Trzecia i nienajmniejsza zaleta, to wnikliwość psychologiczna autora, który nie darmo nad zagadkami duszy ludzkiej, jej wahań, błędów, czy cudownych olśnień w poszukiwaniu Boga i prawd wiecznych w wielu swych studiach się zastanawiał. Ta zdolność introspekcji uderza zwłaszcza przy każdym portrecie duchowym świętych niewiast, które w dziejach Kościoła wybitnie zaważyły: czy to będzie św. Brygida Szwedzka, czy św. Katarzyna Sieneńska, czy św. Teresa z Avila, czy przede wszystkim wzruszająca heroizmem swej wiary św. Joanna d'Arc. Tym pięknym postaciom Daniel Rops poświęcił zwięzłe charakterystyki, w których nie wahał się na przykład podać gwałtownych inwektyw św. Brygidy czy św. Katarzyny, z jakimi zwracały się one do papieży. Przedstawienie misji św. Joanny d'Arc nie ogranicza się pod piórem Daniela Ropsa do patriotycznego panegiryku, ale łączy się z podkreśleniem jej głównego celu działania — służby Bogu przede wszystkim. Ostrożność historyka widać tutaj gdy nie rzuca kamieniem na oskarżycieli św. Joanny, którzy ją na stos posłali, ale stara się dotrzeć do zrozumienia ich teologicznych skrupułów i bezwzględności.

Czwartą cechą narracji Daniela Ropsa jest jej wielka żywość, kolorowość, nierzadko ironia. Pod jego piórem proza tej historii staje się pasjonującą opowieścią, od której oderwać się nie podobna. Jeśli przekonywuje czytelnika, to nie abstrakcyjnym moralizowaniem, ale żywym przykładem, a przede wszystkim własną piękną, górną wiarą, męską, nie ckliwą, szeroką, w której czuje się ducha świata, unoszonego wichrem podniebnych wizji nad dziejami ziemi.

Przeciwników Kościoła traktuje Daniel Rops z wielkoduszną sprawiedliwością. Rozumie uzasadnione oburzenie Lutra, ceni mocny charakter upartego Kalwina, podziwia jego niezmordowaną pracowitość. Jest to jeszcze jedna cecha, pociągająca czytelnika nie-katolika, który czytając te dzieje, przekonuje się, że katolicyzm nie musi ziać nienawiścią do wszystkiego, co nie-katolickie, ale umie patrzeć na innowiercę jak na brata, który błądzi, ale którego się rozumie, szanuje i kocha.

Aby należycie wyjaśnić skomplikowane przyczyny upadku, na progu dziejów nowożytnych, tak potężnego w średniowieczu Kościoła, Daniel Rops rozpatrzył z dokładnością psychoanalityka trzy formy kryzysu tego okresu przejściowego. Pierwsza, to kryzys powagi papiestwa wskutek schizmy papieży i walki soborów z papieżami; druga, to kryzys jedności wskutek odpadnięcia Kościoła wschodniego, wreszcie trzecia — kryzys ducha, będący następstwem poprzednich, a zarazem najniebezpieczniejszą burzą, wstrząsającą podstawami wiary w masie ludu.

Na tym tle, cóż za wspaniały pochód papieży Renesansu od zwrotnego pontyfikatu Mikołaja V, poprzez przepaść moralną za Aleksandra VI Borgii, do mecenasów Odrodzenia Juliusza II i Leona X. Ma się wrażenie, że rozdział ten pisał historyk sztuki, tyle w nim znawstwa twórczości w tej dziedzinie, tyle zrozumienia nieokiełznanej bujności życia Włoch ówczesnych. Gdy na tym tle rozgrywa się wielki dramat dusz Lutra i Kalwina, zdaje się, że pisał go dramaturg i psycholog zarazem.

Tę pierwszą część owej rewolucji religijnej zamknął autor szczegółowym przeglądem ruchów Reformacji w różnych krajach Europy, wykazując ścisły związek motywów religijnych z celami politycznymi epoki.

Część druga, obrazująca wielką erę odnowy Kościoła, to dzieje jego triumfu, osiągniętego przez dzieło soboru Trydenckiego. Na jego tle rysuje się wielka postać św. Ignacego Loyoli, a za nim cała plejada Świętych: św. Karol Boromeusz, św. Teresa z Avila, św. Jan od Krzyża, św. Filip Nereusz i inni.

Dydaktyczną wartość tej historii podnosi dodanie przejrzystych tablic synchronistycznych i imponującej swymi rozmiarami bibliografii.

„L'Eglise de la Renaissance et de la Réforme" to dzieło wielkiego pisarza katolickiego — monument godny wielkości Kościoła.

Józef Andrzej Teslar

Wystawa Mickiewiczowska w British Museum

British Museum złożyło hołd Mickiewiczowi urządzając w stulecie jego zgonu małą, ale bardzo interesującą wystawę. Jest na tej wystawie „Konrad Wallenrod" w angielskim przekładzie z r. 1841, H. Cattleya, jest „Oda do młodości" tłumaczona na niemiecki (1848), są wykłady w College de France z lat 1840-1844. Widzimy pierwsze wydanie „Pana Tadeusza" (Paryż 1834); są to dwa tomy (5 i 6 paryskiej edycji „Poezye") ze zbiorowego wydania dzieł Adama Mickiewicza (wyd. Aleksandra Jełowickiego); obok poemat „Giaur" (Paryż 1835 — 7 tom „Poezye"); drugie wydanie „Ksiąg narodu polskiego" — Paryż 1832; „Sonety", wydane w Moskwie w 1826 r., poemat „Do Joachima Lelewela", wydany w Wilnie anonimowo, w r. 1822. Jest także „Pan Tadeusz" wydany w Warszawie czasów dziesiejszych, w roku 1950, z rysunkami T. Gronowskiego.

Na wystawie znajduje się też portret Mickiewicza, wykonany na życzenie Goethego przez J. Schmellera (oryginał jest w Muzeum Goethego w Weimarze). Są też inne pamiątkowe fotografie i rysunki.

Rewizjonistyczne mapy niemieckie

W dziele pt „Germany Reports", wydanie 2, rok 1955, które jest oficjalną publikacją Biura Prasy i Informacji rządu Federalnej Republiki Związkowej Niemiec Zachodnich, znajdują się dwie mapy, w których obszar polskich Ziem Odzyskanych oraz Pomorza wschodniego nosi napis: „Pod polską administracją". Nad mapą w podziałce 1:3½ miliona, w kolorach, znajduje się napis: „Niemcy w granicach 1937".

Potężne dzieło o 424 stronach druku z licznymi mapkami, wykresami i fotografiami, obejmuje okres od maja 1945 po rok 1955 i ma za zadanie dać obraz odradzających się po klęsce wojennej Niemiec.

Z książki tej dowiadujemy się m. in. w jakich ilościach i skąd Niemcy zostali wydaleni („driven from heath and home"). I tak czytamy, że z Polski wydalono ich 410.000, z Gdańska 225.000, ze Śląska 2.053.000, z Pomorza 891.000, następnie z „Posen" i Prus łącznie 1.347.000. Jak z tego widać w „Germany Reports" „Posen" jest osobno i Polska osobno, co zasługuje na specjalną uwagę.

Związek Pisarzy na Obczyźnie

zaprasza na

WIECZÓR MŁODYCH POETÓW.

Bogdan Czaykowski, Adam Czerniawski, Janusz Ihnatowicz, Zygmunt Ławrynowicz, Jerzy Sito, Bolesław Taborski. Słowo wstępne Józef Jakwiński. Impreza odbędzie się w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego, 20 Princes Gate, S.W.7, w dniu 7 lutego o godz. 7.30.

Z PRASY OBCEJ

WRAŻENIA GRAHAMA GREENE'A Z POLSKI

W „Sunday Times" z dnia 8 i 15 stycznia ukazały się dwa pierwsze z zapowiedzianego cyklu artykułów Grahama Greene'a o wrażeniach, jakie wyniósł z Polski. Pierwszy z nich zatytułowany „The Half — Defeated" (Na wpół pokonana) ozdobiony jest ryciną, przedstawiającą Zamek Wawelski w Krakowie, oraz szkicem pokazującym odbudowę na miejscu dawnego getta warszawskiego.

Greene stwierdza ,że Stare Miasto warszawskie powstało jak feniks z popiołów; stojąc na jego rynku trudno wprost uwierzyć, że zaledwie parę lat temu jeszcze były to góry gruzów. Każdy dom został wiernie odbudowany z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów. Mogłoby się wydawać — pisze Greene — że rząd komunistyczny budować będzie wielkie bloki mieszkalne „z jeszcze jednym może Pałacem Sztuki i Kultury, niemal (choć może nie całkiem, gdyż Polacy mają dobry smak) tak ohydnym, jak pałac podarowany przez Moskwę, który w pośrodku miasta piętrzy swe bezużyteczne kondygnacje, jak tort na weselu gangstera.".

Pragnęłoby się za to — ciągnie Greene — pochwalić rząd komunistyczny. Wówczas jednak wkradają się do mózgu wątpliwości. Stare Miasto zostało zniszczone w powstaniu r. 1944, „jednym z najbardziej walecznych i szalonych epizodów całej historii Polski".

Powstańcy, uzbrojeni w granaty i nieliczne pistolety, trzymali się przez dwa miesiące przeciw armii niemieckiej zajmującej stolicę — woleli raczej oglądać swe miasto niszczone dom po domu, niż skapitulować — a tymczasem generałowie rosyjscy zatrzymali swój pochód, by dać Hitlerowi czas do pozbycia się raz na zawsze tych mężczyzn i kobiet, którzy pragnęli wyswobodzić się... „Oficjalnie — stwierdza Greene — powstania nigdy w ogóle nie było; nie ma jego dokumentacji — jak mi mówiono — w Muzeum Wojny i wkrótce nie będzie nawet rozbitych cegieł, które by świadczyły, że Stare Miasto zostało swego czasu zniszczone. Wiemy zresztą, jak Trocki został usunięty z historii Rewolucji.

Przelotny podróżnik — stwierdza Greene — może znaleźć w Polsce wiele rzeczy, które wydają się niezmienione, a więc rynek Krakowski z jego kolumnadą, z barwnymi strojami wiejskimi i kobietami sprzedającymi jabłka; Częstochowę z jej „najbardziej przekonywującym, jaki kiedykolwiek namalowano, wizerunkiem Matki Boskiej (tu Greene cytuje słowa H. Belloca z jego „Ballady o Matce Boskiej Częstochowskiej: „Help of the half — defeated" — Ucieczko na wpół pokonanych); stare ulice Lublina; piętnastowieczny drewniany kościół w Dębnie z pamiątkami po Sobieskim; humor i lekkość Warszawy.

Na prowincji ciągle jeszcze spotyka się domorosłych artystów, którzy rzeźbią w drzewie postacie Świętych i stacje Męki Pańskiej, a w Zakopanem nadal oglądać można góralskie orszaki weselne oraz słuchać bajczarzy. Można przejechać całą Polskę, podobnie jak dla wielu turystów było to w latach trzydziestych bieżącego stulecia możliwe przebyć Meksyk, i nie zobaczyć nawet śladu napięcia między Kościołem a państwem. Ale państwo nauczyło się, od czasów doświadczenia meksykańskiego, ostrożności, zwłaszcza w Polsce. „Kościół reprezentował naród przeciw Rosji w dniach caratu; reprezentował naród przeciw Hitlerowi i obecnie reprezentuje naród, w oczach samego narodu, w stopniu znacznie wyższym, niż grupa ludzi, którzy nim rządzą w interesie Rosji".

Nawet robotnicy Nowej Huty — notuje Greene — zapełniają kościoły, nie zawsze z pobudek religijnych, ale jako pewien gest niezależności, skoro okazje do niezależności są tak nieliczne. „Niemniej liczba przystępujących do Komunii św. (a człowiek nie traktuje przyjęcia Komunii jako akt polityczny), wzrosła niezmiernie.

Dopiero od czasu rewolucji Polak, jak sądzę, zmienił swój zwyczaj przystępowania do Komunii św. tylko w dniach ważniejszych świąt".

Drugi artykuł Greene'a poświęcony jest przeważnie katolikom reżymowym (autor nazywa ich „Pax Movement"), oceniając ich bardzo krytycznie. Stwierdza on zaraz na wstępie, że dawna niezależna prasa katolicka w Polsce nie istnieje. „Tygodnik Powszechny", pismo o wysokim nakładzie, został zawieszony, ponieważ redakcja odmówiła przesądzania winy oskarżonych w jednym z tych procesów przeciw duchownym, na które rząd sobie pozwalał, zanim nie zorientował się jak silne są uczucia katolików. Przez parę miesięcy nie było w ogóle prasy katolickiej, ale ten stan rzeczy również był niewygodny rządowi, który potrzebował fasady tolerancji religijnej. Wznowiono więc wydawanie „Tygodnika", choć bez udziału któregokolwiek z członków dawnej redakcji, i oddano pismo w ręce ruchu „Pax".

Ruch ten — stwierza Greene — jest być może najbardziej dwuznaczną (ambiguous) cechą dzisiejszego życia polskiego. Przywódca jego p. Bolesław Piasecki, był przed wojną nacjonalistą i antysemitą; podczas wojny był przywódcą partyzantki i walczył odważnie zarówno z Niemcami, jak Rosjanami. Poddał się Rosjanom i został skazany na śmierć. Jednak oszczędzono go i zabrano do Moskwy, skąd, ku zdumieniu wszystkich Polaków, wrócił do „Warszawy z powoleniem powołania do życia firmy wydawniczej „Pax" oraz ruchu „Pax", który stanowi rdzeń tzw. duchownych i świeckich „aktywistów Frontu Katolicko-Narodowego". „Pax" jest kadrą składającą się tylko z około 350 członków, bez wyjątku ludzi świeckich, co przypomina nieco Partię Komunistyczną: wokół tej kadry skupia się dużo zwolenników (fellow-travellers) — wielu z nich szczerze przekonanych — w tym kilka tysięcy księży. Głoszą oni, że celem ich jest popieranie przemian społecznych i gospodarczych w Polsce z których wiele, zdaniem Greene'a, zasługuje na uznanie, ale nie pisze które, aby wykazać „postępowość" katolików. Wolno im wydawać pewną liczbę książek, pochodzących z Zachodu, co należy, zdaniem Greene'a, pochwalić, choć, jak zauważa on, katechizm wydrukowany przez „Pax" w setkach tysięcy egzemplarzy, zawiera zdania o politycznym znaczeniu, nie spotykane w wersji angielskiej katechizmu. „Pax" ma dwa tygodniki: nowy „Tygodnik Powszechny", którego nakład spadł do 30 tysięcy egzemplarzy, oraz „Dziś i Jutro" z nakładem 5 tysięcy egzemplarzy. „Dziś i Jutro" umieszczone zostało na indeksie, ale mimo to ukazuje się nadal.

Przeciwnicy „Paxu", którzy stanowią znaczną większość katolików w Polsce — pisze Greene — utrzymują, że ruch ten inspirowany jest przez Rosjan i był sprytnym manewrem w celu wywołania rozłamu w Kościele. Mówiąc o tym, używa się czasu przeszłego, bo jeśli taka była intencja przywódców „Paxu", to ponieśli straszliwe fiasko. „Pax" ma bardzo małe znaczenie w życiu katolickim Polski."

Greene stwierdza następnie, że wielką rolę w kształtowaniu psychiki różnych ludzi w Polsce odgrywają wspomnienia straszliwej okupacji niemieckiej. Trudno to zrozumieć społeczeństwom, których pamięci nie obciąża Oświęcim. W Polsce pamięta się nie o jakichś Lidicach — było ich za dużo. Uzbrajanie Niemiec jest dla ludzi tych — zarówno katolików jak i komunistów — zdradą.

Green, który pokpiwa z zebrań, urządzanych przez Front Narodowy i pisze, że na nich B. Piasecki grzmi marksistowskimi frazesami przeciw agresji państw Paktu Atlantyckiego, dał się jednak w tym właśnie punkcie wprowadzić w błąd informatorom, skoro ryzykuje zdanie, że „masakra katyńska blednie w swym nikłym znaczeniu wobec sześciu milionów ofiar", i dalej, że „komuniści nie popełnili żadnych zbrodni równych temu, co Polacy wycierpieli od Niemców". Takie oceny lepiej już zostawić samym Polakom, wtedy, gdy każdy z nich we własnym kraju będzie mógł o tym swobodnie mówić i pisać.

Zwolennicy „Paxu" nie są gotowi odpowiedzieć na pytanie, które Greene uważa za kluczowe, a mianowicie pytanie „Gdzie jest wasz punkt oporu, w którym ostrzeżecie rząd, że jeżeli dalej pójdzie, wasza współpraca (Collaboration) się skończy i staną wasze prasy? Istniejecie, a więc musicie być przydatni (of value), dlatego też macie możność wymuszenia (black-mail)".

Punktem tym — stwierdza Greene — nie było aresztowanie kardynała Wyszyńskiego. „Nieugiętość Kardynała leży na sumieniu wielu zwolenników „Paxu", mniej jednak, jak sądzę, jego przywódcom. Kardynał internowany jest obecnie w klasztorze w Komańczy koło Sanoka i „oficjalnie" może zobaczyć się z każdym, z kim ma ochotę się zobaczyć." „Wręczyłem p. Piaseckiemu — stwierdza Greene — otwarty list, zaadresowany do Kardynała, prosząc go o łaskawe udzielenie mi audiencji i obiecując, że nie wspomnę o tym spotkaniu w prasie. Prosiłem o skierowanie do mnie nawet odmowy, pisanej własną ręką, ale żadna odpowiedź nie nadeszła."

*

Zakończenie drugiego artykułu Greene'a jest zupełną niespodzianką. Po tym wszystkim, co napisał poprzednio o ucisku komunistycznym w Polsce i braku wolności, w trzydziestu wierszach zakończenia stwierdza, że nikt w Polsce nie pragnie powrotu rządu emigracyjnego, a przecież przedstawiciela tych właśnie kół Stolica Apostolska uznaje jako przedstawiciela Polski. Po napisaniu tego niespodziewanego twierdzenia Graham Greene występuje z gwałtownym atakiem na stanowisko Watykanu, które „człowieka patrzącego z boku dezorientuje (mistified), jak to się często dzieje, co do obecnej polityki Watykanu. W chwili obecnej polityka watykańska wydaje się być skierowana w równej mierze przeciw katolickiemu społeczeństwu Polski, jak przeciw komunistycznemu rządowi."

W dalszym ciągu zarzuca Greene Stolicy Apostolskiej popieranie interesów niemieckich przeciw interesom Polski i przytacza na to dwa przykłady. Gdy przychodzą listy z Watykanu do administratorów Ziem Zachodnich, są one adresowane z dodatkiem „Germania". Drugi przykład mówi, że „gdy zawakowało biskupstwo (Bishopric) Wrocławia, został na to stanowisko zamianowany duchowny niemiecki, który żyje sobie w wygodzie i bezpieczeństwie w zachodnich Niemczech". Ostatnie twierdzenie jest zupełnie fałszywe, a podane okoliczności zawierają jednak wiele faktycznych błędów. Diecezje na Ziemiach Zachodnich (pewnie chodzi tylko o Ziemie Odzyskane) nie mają swoich administratorów. Administratorzy Apostolscy zostali przed czterema laty przez komunistów aresztowani i następnie deportowani do innych dzielnic. Zarządzają tymi diecezjami Wikariusze Kapitulni, przeważnie narzuceni przez reżym na podstawie osławionego dekretu z dnia 9 lutego 1953 o „obsadzaniu stanowisk kościelnych". Jeśli chodzi o wakans we Wrocławiu i nominację na wrocławską stolicę biskupią przez Watykan, to wypadku takiego w ogóle nie było. Greene, słuchając informacji podsuwanych mu przez członków „Paxu", pomieszał Wrocław z zupełnie inną sprawą. Mianowicie nominacji na „Prałaturę Nulius" w Pile, która to nominacja istotnie miała miejsce przed trzema laty i dotyczyła zachodnio-niemieckiego księdza.

Ale najjaskrawsze twierdzenie Greene'a dotyczy uwięzionego Prymasa. „Sądzę — pisze Greene — że jest możliwe, iż rząd żałuje obecnie aresztowania Kardynała; poszli wszakże za daleko, chyba, żeby mogli przedstawić jego powrót jako część przetargu. Taki przetarg nie jest niemożliwy..." A w końcu artykułu zdumiewający wniosek na ten temat: „Każdy katolik w Polsce... modli się o dzień, w którym rzeczywistość zostanie uznana przez Watykan, i może — w tym wypadku, któż wie? — ukochany Kardynał wróci do swojej diecezji w stolicy Polski."

To, co przede wszystkim uderza w tej ostatniej, a zupełnie niespodziewanej części artykułu Greene'a, to neurotyczna niekonsekwencja. Cóż bowiem wynika z tych artykułów przy takim zakończeniu? Polska jest w niewoli, Kościół jest uciskany, społeczeństwo katolickie przeciwstawia się komunizmowi. I z tym wszystkim ostre domaganie się autora, aby Watykan „wykazał zmysł rzeczywistości", uznał zaborcę, a wtenczas niewola zostanie utwierdzona na zawsze, ale wróci z więzienia kardynał Wyszyński. Czyż nie jest to domaganie się uznania niewoli Polski i szukanie do tego aprobaty najwyższej instancji moralnej na świecie?

Nie tego spodziewali się Polacy po sprawozdaniu Greene'a z Polski, wielkiego pisarza, żarliwego, choć targanego niepokojami konwertyty. Jest rzeczą zrozumiałą, że typ gospodarzy, „katolików reżymowych", którzy zaprosili autora „Sedna sprawy" do Polski, musiał mieć swój wpływ na podejmowanego pisarza. Ale przecież nie powinno się to było posunąć do tego, żeby Greene w konkluzji swego sprawozdania z podróży domagał się utrwalenia niewoli odwiedzanego kraju.

NOWE KSIĄŻKI

POEZJA PROZĄ

Największym nieszczęściem współczesnej cywilizacji jest pęd, pośpiech. Wielu pisarzom, prozaikom i poetom, wydaje się, że miarą wartości i przydatności literatury ma być „dotrzymywanie kroku" karkołomnemu pędowi epoki. Technika urzekła literaturę. A tymczasem już starożytni rozróżniali dwa niewspółmierne stany ducha: otium i negotium. Negotium, krzątanina, to trud techniczny, zabieganie o dobra materialne, troski Marii Łazarzówny. Negotium dosłownie znaczy brak spoczynku. Dobra duchowe zaś rodzą się w otium, w spoczynku, w spokoju, w powolnym rozmyślaniu, w kontemplacji. Kultura, dobro duchowe, polega na tym, aby się umieć zamyśleć nad rzeczami wiecznymi, wspólnymi wszystkim czasom. „Titire, tu patulae recubans sub tegmine fagi..."

Wielką rozkosz smakoszom otium przynosi nagrodzony i wydany przez „Kulturę" tomik prozy poetyckiej Mariana Pankowskiego pt. „Smagła swoboda".*) Zwolennicy technicznej funkcji kultury z pewnością wzruszą ramionami: „eskapizm". I będą mieć rację. Ale cóż: każda sztuka jest eskapizmem. Wynika to z natury tworzenia.

Czemuż bo pióro poświęca Pankowski? „Wykradaniu owoców" w sadzie, „wykradaniu słonecznika", „rozpalaniu ognia", „sztuce latania" z gałęzi drzew na ziemię, „smagłej swobodzie" Cyganów, szukaniu wzruszeń poetyckich w lasach Karpat. Jaki pożytek z tych spraw i z pisania o nich? Niech odpowie sam autor:

POŻYTEK JAKI

Są tacy, którzy zawsze o pożytek pytać będą. Dla nich gotową miej odpowiedź. Potrząśnij sakwami, w których bukiew i żołądź zachrzęści; a matuli warzącej wieczerzę na blachę jałowcowych kulek sypnij. Napachnisz kuchnię całą jakby to nieszpór był u franciszkanów.

A kiedyś, gdy w mieście dalekim przyjdzie ci w pamięć na larum uderzyć, wierzaj mi — stawi się wiernie wszystek bór. Oprzesz się o oń, i tysiąc miast betonowych pędzących na ciebie powstrzymasz. Taka jest moc tamtej ziemi.

W tym rzecz. Ale trudna rada, jeśli człowiek nie pragnie oparcia się pędzącym betonowym miastom. Taki także do rąk nie weźmie recepty poetyckiej.

Marian Pankowski podejmuje sprawę elementarną: poetyckiego odczuwania świata. Daje garść swoich doświadczeń z dzieciństwa. „Smagła swoboda" jako zjawisko literackie jest zwiastunką otrzeźwienia we współczesnej poezji polskiej, odwrotu od lirycznych bełkotów, od znaków runicznych rozgorączkowanej wyobraźni, a powrotu do starych, wyschniętych łożysk klasycznego piękna: obrazu i wyrazu. Język poetycki Pankowskiego jest — mimo pozorów „rejowatości" — własny i odkrywczy. „...Świętojanki... uznaliśmy nie za owady, lecz za czerwcowe stadium pomiędzy szmaragdowym wirusem paproci i żywym ogniem.")

„Smagła swoboda" napisana jest poetycką prozą. Proza, kiedyś kopciuszek wobec poezji, od wieku zaczęła w mozolnym trudzie zyskiwać nad nią przewagę. Dziś już prozą można wyrazić wszystkie delikatności wzruszeń i wyobraźni. Proza przegoniła poezję w sztuce słowa. Z kolei poezja zaczyna naśladować prozę. Najlepsi poeci piszą dziś w sposób przypominający prozę. Pankowski jest przykładem tej słusznej drogi poezji ku prozie. W przyszłości będzie coraz trudniej odróżnić prozę literacką od poezji.

W prozie jednak obowiązują inne prawa niż w poezji. Jest ona bardziej realna, bliższa językowi mówionemu, łatwiej sprawdzalna. Proza nie znosi oszustw ani sztuczek, nawet rodzaj jej „licencji" jest inny niż w poezji, choćby to i była proza poetycka. Pankowski rozumie to doskonale, a nadając swym poematom formę „traktatów" postąpił tak nie dla względów literackich, lecz najdosłowniej „przestudiował" przedmiot. Język zaś ostrzył o pergaminy starych ksiąg.

Przykładając prozaiczne miary do tomiku Pankowskiego możnaby mu zarzucić pewne potknięcia w realiach. Czyżby w Sanockim żeniono sady z ogrodami warzywnymi? Skąd się tam brała „chrupka kalarepka" i „odchylone sennie liście kapusty", a już zwłaszcza truskawki, które muszą być całe podane na słońce? Gacki nie nocą latają, ale tylko o zmierzchu. W nocy są tak samo ślepe jak w dzień. „Adwentowofiołkowe węgierki" są wycieczką w czystą lirykę, gdyż fiolety adwentowe nic wspólnego nie mają z głębokim granatem dojrzałych śliw. Nawet fiołek i fiolet, to dwa różne kolory. I w języku nie ze wszystkim zgoda z Pankowskim. Np. „podszewka metafizyczna" brzmi jak powierzchnia głębi, kawki mogą rajcować albo przy owocu albo na drzewie, ale nie „na owocu", w polu rozpala się chyba wszędzie, a więc i nad Sanem, ognisko, nie ogień.

Ale te drobne skazy, to cechy pióra poetyckiego, które, jak wszystko z tego świata, wtedy jest tylko doskonałe, jeśli ma wady. Pióro Pankowskiego jest doskonałe z jego wadami.

J. B.

*) **Marian Pankowski SMAGŁA SWOBODA. Biblioteka „Kultury", t. XI. Instytut Literacki, Paryż 1955.**

TEATR

Uczczenie polskiej scenografki

W „Victoria i Albert Museum" odbywa się wystawa mająca za cel uczczenie pamięci wybitnej scenografki scen londyńskich, Polki, Zofii Fedorowicz.

Zofia Fedorowicz urodzona w roku 1894 w Mińsku, przez Kraków i Paryż dotarła do Londynu, gdzie pracowała dla teatrów londyńskich jako scenografka a ponadto wystawiała swe prace malarskie, oleje i drzeworyty.

Na wystawie obecnej widzimy projekty dekoracyj teatralnych jej pomysłu do oper i baletów takich jak: „Tosca", „Madam Butterfly"", „Orfeusz i Eurydyka" i innych. Mamy fotografie z jej życia w tym kilka z Krakowa, w którym przebywała w latach 1911-17 następnie katalogi jej wystaw oraz kilkaset szkiców artystki do strojów scenicznych jak i same stroje teatralne wykonane według jej pomysłów.

Wszystko to rzeczy wysokiego poziomu i subtelnego smaku. Na wystawie są również tkaniny zaprojektowane przez angielską malarkę Pat Albeck, których desenie oparte zostały na rysunkach Zofii Fedorowicz. Wystawa zajmuje 4 sale i jest urządzona z pietyzmem przez brytyjskich kolegów polskiej scenografki. Nie zabrakło na ścianach portretów Zofii Fedorowicz z różnych okresów jej życia. Niezwykle miła twarz artystki przyciąga oczy Polaków swoją typowo polską urodą.

S. L.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 29 stycznia 1956.

NASZE SPRAWY

FRANCJA

Jest rzeczą podziwu godną, jak młodym w gruncie rzeczy zjawiskiem historycznym jest przyjaźń polsko-francuska. Podstawa i polityka Polski i Francji były od zarania naszych dziejów pokrewne i równoległe: i my i oni byliśmy stronnikami papiestwa i przeciwnikami cesarstwa, a także Francja organizowała krucjaty, a myśmy byli przedmurzem chrześcijaństwa. Ale pierwsza świadoma próba politycznego zbliżenia pojawiła się dopiero w wieku XVI. A potem drogi nasze się rozeszły: w erze wojen między obozem protestanckim i katolickim w Europie Francja stanęła w praktyce po stronie protestanckiej; była protektorką Szwecji, oraz Brandeburgii-Prus, była także sojuszniczką Turcji, a obóz protestancki i Turcja to byli nasi główni wrogowie. Co tu dużo mówić: nasza pozycja mocarstwowa runęła w sytuacji, której patronowała Francja. Nasza pozycja mocarstwowa runęła mianowicie w rebelii Chmielnickiego i w potopie szwedzkim: ze skutków tych dwóch klęsk nie podźwignęliśmy się już nigdy i rozbiory, w półtora wieku później, były pośrednio ich konsekwencją. A te dwie klęski są owocem wojny trzydziestoletniej, którą rozstrzygnęła Francja. Francji się zdawało, że ratując protestantów, spowodowała ona ustalenie równowagi sił. Tak może było w Europie Zachodniej. Ale w Europie Wschodniej pokój westfalski 1648 roku, który zakończył wojnę trzydziestoletnią, oznaczał protestancką hegemonię: Polska była szachowana przez Turcję i Moskwę i utrwalenie się pozycji Szwecji i Brandeburgii oznaczało, że Polska znalazła się w toni. Bunt Chmielnickiego, w tymże 1648 r., był prostą konsekwencją zwycięstwa obozu protestanckiego w zmaganiu wojny trzydziestoletniej.

Tylko naiwni sądzą, że bunt Chmielnickiego był rewolucją społeczną. On się rewolucją społeczną s t a ł. Ale pierwotnie, był on zamachem czysto politycznym. Był on rokoszem pułków kozackich, mającym na celu osadzenie na polskim tronie króla-protestanta, przynajmniej Rakoczego z Siedmiogrodu. Chmielnicki nie był chłopskim rebeliantem, czymś w rodzaju zbójnika, jak sobie wyobrażają ludzie, nie znający historii. Był on wyższym wojskowym, a zarazem wybitnym politykiem. Uczestniczył on w naradach polityczno-wojskowych u króla Władysława IV w Warszawie. Był dobrze znany rządowi francuskiemu. Zajmował się ongiś werbowaniem wojsk zaciężnych dla Francji, bywał we Francji i bodajże brał tam udział w operacjach wojennych. Także i inni wodzowie kozaccy byli czymś całkiem innym, niż ich sobie wielu wyobrażało. Kto np. wie, że znany z „Ogniem i mieczem" Krzywonos był wybitnym marynarzem, z praktyką śródziemnomorską i północną? Są nawet poszlaki, że nie był on w ogóle Rusinem, ale Szkotem.

Kierownikiem rewolucji Chmielnickiego był król Władysław IV. Spiskował on z kozakami, planując wojnę turecką i ułatwił im mobilizację, której użyli do całkiem innego celu.

Także i zamach szwedzki był przede wszystkim politycznym zamachem protestanckim. Istotą „potopu" było osadzenie na polskim tronie króla-protestanta, w osobie Karola Gustawa szwedzkiego. Szwedzi dlatego tak bez oporu przespacerowali się po Polsce, bo mieli po swojej stronie spisek w Polsce, złożony zarówno z protestantów, jak także i z magnatów - katolików (przynajmniej nominalnych), reprezentujących koterię francuską, to znaczy p o l i t y c z n i e stojących po stronie protestanckiej. Obrona Częstochowy nie przez to była czymś tak wielkiej miary, że była trudna taktycznie: taktycznie nie była trudna. Była jednak aktem wielkiej odwagi i inicjatywy, bo sprzeciwiała się nurtowi, panującemu wówczas w Polsce. Stała się hasłem do katolickiego powstania — i powstanie to okazało się zwycięskie.

Mimo wszystko, i buntowi Chmielnickiego i potopowi szwedzkiemu, w pewnym stopniu, z daleka i pośrednio, — lecz niezaprzeczalnie — patronowała Francja.

Ale w ciągu z górą stulecia, które dzieli wojnę trzydziestoletnią od wojny siedmioletniej — które dzieli czasy, gdy Francja popierała później głównego inicjatora rozbiorów: Prusy (i ich początkową opiekunkę, Szwecję), od czasów, gdy z Prusami walczyła — nastąpił stopniowy przełom. Francja długo się wahała — ale w końcu skrystalizowała się w postawie propolskiej. W wieku XVIII Francja była już naszą przyjaciółką, choć przyjaźń jej dla nas była ostrożna, nie angażująca się i bez zapału. I ostatecznie niewiele nam przyniosła pożytku. A nawet przyniosła nam niemało szkody: bo czasem lepiej jest nie mieć przyjaciela wcale, niż mieć przyjaciela, na którego się liczy, a który w krytycznej chwili zostawi nas na lodzie.

Istotna epoka przyjaźni polsko-francuskiej zaczyna się dopiero od czasów Napoleona. Nasza przyjaźń z Francją była więc krótka — ale mocna, gorąca i oparta na rzeczywistej zbieżności interesów, dążeń i obaw.

Wielu Polaków ma pretensję do Napoleona, że nie odbudował Polski na miarę przedrozbiorową. Trzeba jednak pamiętać, że nie miał on obowiązku tego zrobić: nie miał wobec nas tak wielkiej miary zobowiązań. Trzeba także pamiętać, że — przegrał. Gdyby był ostatecznie wygrał, być może byłby dla nas zrobił więcej. Ale on przez cały czas swej kariery był mimo swych olśniewających zwycięstw i sukcesów, w położeniu bardzo trudnym; wisiał wciąż na włosku, borykał się wciąż ze straszliwymi przeciwnościami, które go w końcu powaliły — i musiał myśleć przede wszystkim o Francji i o sobie. Zrobił dla nas tyle, ile mógł; a przynajmniej tyle, ile uważał, że może. A zrobił dla nas przecież bardzo dużo: bądź co bądź, Księstwo Warszawskie, a nawet to, co pozostało po jego klęsce, Królestwo Kongresowe, to był zupełny przewrót w sytuacji w porównaniu do stanu rzeczy z lat 1795-1807, gdy byliśmy z mapy świata wykreśleni.

Przez cały wiek XIX trwała przyjaźń polsko-francuska; i nadzieje nasze na poprawę naszego położenia oparte były na Francji. Ostatecznym przypieczętowaniem naszej klęski było to, co było zarazem straszliwą klęską Francji: triumfy Bismarcka.

A główną podstawą, na której wyrosła nasza niepodległość było w wojnie 1914-18 roku zwycięstwo francuskie. Bez Marny jednej i drugiej, bez Verdun, bez Joffre'a, Focha, Poincarégo i Clemenceau nie byłoby odbudowania Polski. Bez poparcia dyplomacji francuskiej — z reguły wbrew Lloyd George'owi — nie byłoby naszego dyplomatycznego zwycięstwa w Wersalu. A bez broni i amunicji francuskiej, a może nawet i bez technicznej pomocy misji wojskowej francuskiej, no i bez sformowanych we Francji dywizji hallerowskich, nie byłoby naszego zwycięstwa 1920 roku.

Cokolwiek dałoby się powiedzieć o stosunkach polsko-francuskich w czasach między wojnami, jest faktem, że podstawą ich był formalny akt sojuszu. Cokolwiek dałoby się powiedzieć o ociąganiu się francuskim we wrześniu 1939 roku i o oportunizmie i niedołęstwie wojskowym francuskim w początkach drugiej wojny światowej, jest faktem, że Francja wypowiedziała Niemcom wojnę, wywiązując się ze swoich zobowiązań sojuszniczych wobec Polski — i rzuciła się przez to w największą katastrofę swoich dziejów.

Przyjaźń polsko-francuska, chociaż tak młoda, ma trwałe podstawy w geografii: w fakcie, że Francja, naród 45-milionowy i my, naród 30-milionowy, mamy za sąsiada 80-milionowy, centralnie w Europie położony naród niemiecki. Oraz w pokrewieństwie duchowym: mimo wszystko, i oni i my jesteśmy narodami katolickimi. I oni, i my, gorąco miłujemy wolność. I oni i my ożywieni jesteśmy duchem tolerancji. I oni i my dumni jesteśmy z łacińskich podstaw naszej cywilizacji.

Piszę to wszystko przy smutnej okazji, jaką jest ujawniona raz jeszcze — w świeżych niepowodzeniach północno-afrykańskich i w opłakanym wyniku ostatnich wyborów — słabość dzisiejszej Francji.

Mówi się o dzisiejszej Francji, że jest ona „chorym człowiekiem Europy". Tego samego określenia używano pół wieku temu, w odniesieniu do Turcji. Można je było również, z taką samą słusznością, zastosować do Polski osiemnastego stulecia.

Nie należy znaczenia takich ocen przeceniać. Choroba ustroju politycznego i organizacji państwa, a nawet choroba paraliżu zbiorowej woli niekoniecznie znaczy, że naród jako taki jest chory. Naród francuski chory nie jest. Ma on dużo zdolności, szybko rośnie liczebnie. Pracuje. Jest zdrowy gospodarczo. Jest twórczy kulturalnie. Ma wiele cech zdrowia moralnego. Zdemoralizowani „egzystencjaliści" są cieniutką warstewką. Komuniści tworzą wprawdzie 25% narodu francuskiego, ale 25% to jeszcze nie 100%.

Także i Polska w chwili rozbiorów była jako naród zdrowa. Też siły okazała zaraz potem w erze napoleońskiej, a nawet w powstaniu Kościuszki! I Turcja także pokazała pod Kemalem Paszą, że na łożu śmierci nie leży.

Ale — choroba Polski zakończyła się rozbiorami. A choroba Turcji? — Przypomnijmy sobie, jakie terytoria należały do Turcji do roku 1919, albo do 1912, albo do 1911, albo do 1907! Libia, Arabia Saudyjska, Palestyna, Syria, Irak, Albania, Macedonia, Sandżak Nowobazarski — wszystko to odpadło od Turcji dopiero po roku 1911. Turcja miała w owym roku dostęp do Zatoki Perskiej, do Morza Czerwonego, do Adriatyku, do zachodniego basenu Morza Śródziemnego. A jeszcze w roku 1907 nominalnie władała Bośnią i Hercegowiną i posiadała enklawę, wyspę Ada-Kaleh na Dunaju, u stóp Karpat. A co zostało z Turcji po roku 1919?

Co zostanie z Francji po obecnym okresie słabości? — W ciągu ostatnich dwóch lat Francja straciła Indochiny, straciła swe posiadłości w Indiach, straciła dużą część swej pozycji w Tunisie. A teraz chwieje się jej pozycja w Maroku i w Algerii, pomruki idą przez jej posiadłości w Afryce murzyńskiej, wali się jej z trudem zmontowane stanowisko w Saarze. Gdzie się ten proces zatrzyma? Bo na pochyłe drzewo każda koza skacze — i słabego oskubują wszyscy.

A jednak — nie wykreślajmy Francji z naszego rachunku. Bo ona jest i będzie. Wprawdzie nie będzie zapewne tym, czym była w roku 1919. Ale upokorzona przez klęskę, z pewnością wykrzesze z siebie nieoczekiwane siły i będzie znaczyć — wiele! Jakby wyglądała kalkulacja polityczna tego, kto by w erze napoleońskiej nie wziął w rachubę faktu istnienia narodu polskiego? Albo tego, kto by w roku 1922 czy 1956 nie wziął w rachubę — nowoczesnej Turcji? Takim samym błędem byłoby — przekreślać Francję jako wybitną w życiu Europy pozycję.

Francja jest — i będzie. A Francja jest naszą naturalną sojuszniczką. Popełnilibyśmy zaiste wielki błąd — gdybyśmy i o jednym i o drugim zapomnieli.

POLONUS

APEL KACETOWCÓW

W najbliższą sobotę, tj. 28 stycznia, a także i w niedzielę 29 stycznia odbywać się będzie w Londynie i poza Londynem zbiórka, która daje nam możność dopomożenia tzw. sprawie kacetowców.

Związek b. Więźniów Politycznych Niemieckich Więzień i Obozów Koncentracyjnych prowadzi od lat dziesięciu nieprzerwaną kampanię o prawo do odszkodowań dla ofiar niemieckich obozów koncentracyjnych i więzień. Prowadzi je z niemałym trudem nie mając odpowiedniego podtrzymania ze strony polskiej społeczności emigracyjnej.

Zjednoczenie Polaków w Wielkiej Brytanii, uznając znaczenie tej akcji, udzieliło kacetowcom zezwolenia na zorganizowanie zbiórki i wyznaczyło jej termin. Będzie to pierwsza zbiórka kacetowców i ich pierwszy apel do społeczeństwa o najdrobniejsze choćby poparcie w sprawie, która nie dotyczy przecież tylko jednostek, lecz ma znaczenie ogólne i zasadnicze i w imię sprawiedliwości nie powinna być przegrana.

Zarząd Związku b. Więźniów Politycznych obejmuje swą opieką bardzo licznych członków, byłe ofiary nieludzkich prześladowań hitlerowskich, pozbawionych zdrowia i sił. W imieniu ich wszystkich zwraca się z gorącą prośbą do ludzi dobrej woli, a przede wszystkim — za zgodą Władz Kościelnych — do Czcigodnego Duchowieństwa, do Zarządów wszystkich Organizacyj, do Prasy, do wszystkich zacnych serc — o pomoc w przeprowadzeniu zbiórki. Nie ociągajmy się ze składaniem ofiar na ten cel do puszek pań kwestarek, czy to przed kościołami, czy w lokalach. Datki przesyłać można również czekami lub Postal Orderami pod adresem: Polish Association of Former Political Prisoners of German prisons and concentration camps, c/o SPK, 18 Queens Gate Terrace, London, S.W.7.

PO ŁEPKACH

JEDNA CZY DWIE LITERATURY POLSKIE?

Współczesna literatura polska posiada dwa wyraźnie różne oblicza, a różnica ta dość nieoczekiwanie wynika z tego, czy dzieło powstało w Kraju czy na obczyźnie. Posiadamy dwie literatury polskie: optymistyczną i pesymistyczną, literaturę rezygnacji i nadziei, katastroficzną i literaturę wiary w przyszłość. Tą pesymistyczną i poddaną zwątpieniu jest, niestety, literatura emigracyjna.

Przeważająca ilość jej dzieł, jeśli nie wszystkie, wiążą się z przeszłością, opłakiwaną jako bezpowrotna, lub z rozpaczą. Bywają to dzieła nawet bardzo wybitne i, co ciekawe, im tematyka ich sięga głębiej w przeszłość, tym są doskonalsze. A więc „Leśnik" Kuncewiczowej, „Dolina Issy" Miłosza, „Ziele na kraterze" Wańkowicza, „Komysze" Łobodowskiego, „Nadberezyncy" Czarnyszewicza, „Blisko i daleko" Danilewiczowej. Wszystko to dzieła uśmiechu do własnej młodości i do czasów minionych. Książki te zastępują nam poniekąd na emigracji albumy zdjęć rodzinnych, serwantki z bibelotami i portrety dziadów w czamarach i konfederatkach. Lecz te utwory o dawniejszej przeszłości są jeszcze najpogodniejsze i smutno, bo smutno, ale ostatecznie pogodzone z życiem. Nie one tedy przesądzają o tonacji rozpaczy w emigracyjnej twórczości.

Mamy też wiele książek o przeszłości niedawnej. W tych już wyraźnie pobrzmiewa nuta pesymizmu. Należą tu przede wszystkim liczne wspomnienia obozowe, wojenne i z podziemia. Trudno, oczywiście, wymagać, aby pamiętniki nie zajmowały się przeszłością. Jednakże spora ilość wspomnień ubrana jest w szatę literacką, a wydarzenia ostatniej wojny potraktowane są tam dwojako: albo jako tak straszne, że nie podobna się po nich odgiąć do nowego życia, albo jako „dawne dobre czasy" wojaczki, konspiracji czy powstania. W obu wypadkach autorzy zatrzaskują drzwi przed teraźniejszością jako nieważną, nienawistną lub straszną, czy nawet po prostu nieciekawą, pogrążeni całkowicie w kontemplacji czasów przeszłych, czasem też rozstrząsając przyczyny klęski i zdrady.

Głównym surowcem piśmiennictwa jest naturalnie przeszłość. Rzecz w tym wszakże, że dzieła literatury emigracyjnej poświęcone przeszłości posiadają tonację beznadziejności, nie szukają dróg wyjścia ani nawet pogodzenia się z życiem. Jeśli nie głoszą zupełnej rezygnacji, wówczas, w najlepszym razie, podnoszą protest i oskarżenie wobec świata w oczekiwaniu na jakieś nadzwyczajne wydarzenia, które odwrócą losy.

Pisząc o obozach, autorzy polscy mają współczucie przede wszystkim dla siebie samych, z dzieł ich natomiast przebija niewiara w drugich ludzi. Współwięźniowie rosyjscy to w opisach autorów polskich niemal stado półzwierząt czy małp człekokształtnych. Im który stał wyżej, tym głębiej nurza się w podłości. Łagry są w oczach pisarzy polskich tragedią Polaków, a nie ludzkości. Można by wprawdzie wynotować parę wyjątków, ale stwierdzają one tylko regułę.

Szczęście upatrują pisarze emigracyjni wyłącznie w przeszłości. Jakże znamienna jest ich tęsknota do dworków i życia ziemiańskiego lub mieszczańskiego sprzed pierwszej wojny i jakże przezłocone jest życie w dwudziestoleciu niepodległości! Niektórzy pisarze są skłonni niemal do głoszenia podzwonnego narodowi, do okrzyku: „Finis Poloniae!" dlatego, że życie wyrzuciło ich za burtę. Oto kilka zdań z zakończenia „Czasów wojny" F. Goetla: „Legendę naszego życia traciliśmy w latach wojny pomału. Zwolna też, etapami, szliśmy z naszego kraju na wygnanie... Świadomość, że pierwszy raz urywa się coś za nami, miałem dopiero wtedy, gdym opuszczał Warszawę, zdruzgotaną po powstaniu roku 1944. Traciłem wówczas coś więcej niż drogie mi gniazdo. Ale i ów dach nad głową, co przesklepia miłość do wczoraj i tryskającą z niej wiarę w jutrzejszy dzień. Od chwili tej czułem, że jestem już zdany sam na siebie. Tak samo myślało zapewne tysiące innych..." „...Stanąłem jakiś czas nie tak daleko przecież od mojej ojczyzny, bo na europejskim kontynencie. Ostatni raz byliśmy wtedy zwartą pełnokrwistą społecznością polską." „...Potem trzeba było zrobić ostatni krok, za morze. W krajach, dokąd mieliśmy podążyć, obiecywano nam wolność. Ale komisje zagraniczne, które wybierały obywateli, którzy pierwsi mieli zostać obdarowani wolnością, obmacywały ich i mierzyły jak handlarze niewolników. Było to jednak podobno potrzebne dla pożytku narodów, które zdołały obronić swe prawo do wolności."

W jednym z artykułów w londyńskich „Wiadomościach" Goetel otwarcie napisał, że dawna Polska już się nie odrodzi, bo warstwy, które ją tworzyły, zostały unicestwione.

Żołnierz, który szedł ku Polsce borem-lasem, przez sowieckie obozy i niemieckie zasieki na włoskim froncie, w powieści Tadeusza Zajączkowskiego „Ślad bosej nogi", w ostatnim jej rozdziale, w rozpaczy obejmuje kolumnę na rzymskim placu; u jej stóp „kuli się bezradnie biedna ludzka postać w ciemności i pustce".

Nad Krajem pisarze emigracyjni położyli dawno krzyżyk. „Droga donikąd" mogła się jeszcze w czerwcu roku 1941 stać na krótko drogą „do Polszy", ale w jaką otchłań można było jadąc nią zabrnąć przez następujące lata aż po dziś?

Inny pisarz dał przerażające świadectwo „niewolenia umysłu" i „zdobycia władzy" jako nieodwracalnych procesów historii. Piotr Kwinto nie zna żadnego wyjścia spod tych młotów, a ucieka przed nimi ze strachu i bez wiary, że ten drugi świat jest lepszy. „I kim jestem? — rozważa: — Chcę prawdy. A jakakolwiek prawda, jaką znajduję, jest za słaba, nie może stawić czoła — im." Józef Mackiewicz wierzy przynajmniej w gest rozpaczy, w odruch zemsty, Czesław Miłosz nie ma dla swej wiary zaczepienia w niczym.

Mimo pozorów, łudzących oczy barwnością środowisk, ani „Katedra Sandwiczów" ani „Kociołek na Ziemowita" nie są opowiadaniami optymistycznymi. „Katedrą Sandwiczów" kończy się obrazem emigracyjnej rozpaczy, w którym to wróżbita pan Masło spotkawszy zafrasowaną Panią z Kiosku pociesza ją: „— Nie martw se, kobieto, bo od Turków se zacznie."

A czy trzeba komentować pogrążony w absurdzie „Trans-Atlantyk" Witolda Gombrowicza, krzyk bezradności i rozpaczy? A opowiadania Tadeusza Nowakowskiego?

Emigranci ze swym smutkiem i rozpaczą łatwo odnaleźli na Zachodzie podatny klimat i bardzo im przypadł do gustu tutejszy katastrofizm. Jego bijącym w oczy obrazem jest zwłaszcza opowiadanie Stefanii Zahorskiej „Stacja Abbesses".

Tak, trzeba by dobrze ruszać głową, aby wyłowić z pamięci jeden czy drugi utwór literatury emigracyjnej, który by nie był pogrążony w pesymizmie.

Pragnąc określić jakoś nasz tradycyjny związek z Zachodem nazywamy to „wspólnotą cywilizacji chrześcijańskiej". Niestety, pesymizm i rozpacz dalekie są od chrześcijaństwa. Pesymizm naszej literatury emigracyjnej nie świadczy w żadnym razie o jej duchu chrześcijańskim.

A jaka jest dzisiaj literatura w Kraju?

Odpowiedź na to pytanie wymagałaby dłuższej i głębszej analizy. Jedna wszakże cecha w niej dominuje, bez względu na to, czy jest ona mniej czy więcej skrępowana, mniej czy więcej zniewolona: jej optymizm. Piśmiennictwo w Kraju, związane powrozami doktryny i mechanicznych nakazów, nawet w tym godnym pożałowania stanie okazuje pogodę ducha, wiarę w lepszą przyszłość. Literatura krajowa nie aprobuje tego, co dziś się dzieje z narodem, ale ufa w zmiany na lepsze. Nie patrzy odrętwiałym wzrokiem w przeszłość i nie poprzestaje na rozpamiętywaniu dni chwały. Nie rozpacza nawet w obliczu najgorszego, dotykalnego zła, nie załamuje się pod brzemieniem nieszczęść.

Pisarze polscy w Kraju szukają dróg wyjścia z matni czasów, nie tracą wiary w naturalną dobroć ludzkiej natury i ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości. Oczywiście, margines wypowiadania takich poglądów jest w Kraju niewielki, lecz łatwo można odczytać akt wiary nie tylko w książkach pisarzy katolickich, podejmujących tematy religijne i historyczne, ale także w twórczości o tematyce współczesnej. Ta tematyka właśnie, próba wydobycia z każdego położenia wartości nieprzemijających jest krzepiąca. Obok literatury zaprzedanej, krzewiącej cynicznie fałszywe idee, trwa ciągle w Kraju — na szczęście — literatura wprawdzie skrępowana, ale wolna w duchu.

Dla ilustracji dwa przykłady wydanych ostatnio książek: zbiór opowiadań młodego pisarza Jerzego Stadnickiego „Kurz na miłości" i Marii Dąbrowskiej „Gwiazda zaranna".

Stefan Lichański we wstępie do opowiadań Stadnickiego zwraca uwagę na skromność ich problematyki, którą określa jako „zaczynanie od małego". Stadnicki nie pociąga za sznury wielkich dzwonów, przeciwnie, ogranicza się do uprawy poletek moralnych i moralno-społecznych dzisiejszej rzeczywistości polskiej, chce słowem pisarskim pomóc ludziom w ich trudnościach życiowych, z pozoru prywatnych, a w rzeczywistości zazębiających się o sprawy największe: o styl i wartość życia społecznego. Oto jedna z dróg, których sobie musiał poszukać niezniewolony umysł w Kraju i na której mógł się wypowiedzieć nawet młody pisarz piórem dotąd nieznanym.

A Dąbrowska? „Gwiazda zaranna" jest wspaniałym dokumentem, jak sobie może radzić nieujarzmione pióro w najtrudniejszych warunkach. Proza Dąbrowskiej w latach ostatnich nabrała ciężaru dojrzałych owoców. Każdy jej wyraz waży, słowa rodzą się pod piórem ciężkie, oszczędne, wymierne. Pisarka porzuciła nawet pozory pięknosłowia czy deklamacyjności. Zwłaszcza ostatnie opowiadanie tomu „Na wsi wesele" podejmuje zagadnienie życia ludzi w narzuconym ustroju. Dąbrowska nigdy nie należała do pisarzy sztandarowo katolickich, ale „Gwiazda zaranna" może służyć za przykład chrześcijańskiej aprobaty życia. W wielkiej wiejskiej gromadzie jest tylko kilku i to już zawiedzionych zwolenników nowego porządku, ale naród przecież musi jakoś żyć, pracować i tworzyć, więc ludzie, każdy po swojemu, porają się z rzeczywistością. Ksiądz mówi w kazaniu, że „cokolwiek naród zbuduje, zbierze z roli, wypracuje w przemyśle, to wszystko uczyni dla Polski, bo rządy mijają, a ziemia i naród, i plony jego trudów pozostają..." A jeden z chłopów, który stracił wiarę w wartość „nowego", tak oto mówi: „...Trzeba na tę drogę do przyszłych czasów uważać, żeby się z lęku nie pobłąkać, żeby przyszłości nie stracić, nie przegapić..."

Jaka różnica tego poglądu ze słowami bohatera powieści Józefa Mackiewicza, głoszącego taką myśl: „...Wolę, żeby mego narodu nie było wcale, niż żeby był narodem bolszewickim..." To są słowa rozpaczy, a tamto słowa wiary i nadziei. To słowa pogańskie, tamto chrześcijańskie. Taka też różnica między literaturą emigracyjną i krajową: emigracyjna, choć głośno deklarująca swą przynależność do świata chrześcijańskiego, przejawia się w zmienionej i grzesznej wierze w nieuchronne zło, tamta, choć poddana uciskowi bezbożnej doktryny, w istocie swej jest chrześcijańska. Emigracyjna walczy, ale w każdej chwili może, o rzeczywistość, uczestniczy w jej kształtowaniu.

Mówi się na emigracji z przekąsem o „organicznym" piśmiennictwie, o takich rzeczach jak „Mądre zioła" Wojciecha Żukrowskiego albo jego „Córeczka". Potępia się je nawet jako „eskapizm". Ucieczka? Od czego? W życiu wszystko jest ważne. Jeśli się nie da budować zamków, dobre i ogródki ziół leczniczych czy ogrody radości dla dzieci. Dotyczy to też licznych prac edytorskich, wznowień, przekładów i dzieł historycznych tego pokroju, co epos Gołubiewa i powieści Hanny Malewskiej.

Czy zatem istnieje jedna czy dwie literatury polskie?

Jedna. Wszystkie wybitne utwory literackie, uznane przez czytelników w Kraju, cieszą się takim samym powodzeniem na emigracji, a z pewnością i czołowe dzieła emigracyjne cieszyłyby się w Kraju, gdyby je tam dopuszczono, takim samym, jak na obczyźnie, wzięciem. Mimo wszelkich tendencji i fałszów ideologicznych, „Drogę donikąd" czytanoby zapewne w Kraju z taką samą pasją, jak my tu czytaliśmy „Pamiątkę z Celulozy". A te książki, których się tu nie czyta, tych i czytelnik w Kraju nie bierze do ręki.

Literatura w Kraju pozostała sobą. Świadczą o tym trochę te nieliczne wartościowe dzieła, które się tam ukazują, a jeszcze wymowniej świadczy o tym jej przymusowe milczenie.

Jan Bielatowicz

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. W P Ł A T Y a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i C E N A P R E N U M E R A T Y W R Ó Ż N Y C H K R A J A C H: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca"**, Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. **BELGIA:** Mme E. Kułakowska, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. **BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska Casa „Acao"**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. **Książnica Polska**, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i **Mons. W. J. Słapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. **FRANCJA: ks K. Stolarek, OMI**, 29 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M.), CC 5 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. **HOLANDIA: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto **NIEMCY: St. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 o r a z **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. **NORWEGIA: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., **Mme J. Stojanowska**, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz **„Pomoc" — Eksport - Import**, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mgr. A Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Pren. kwart. 5.00 frs. **SZWECJA: Mgr. B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. **WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska**, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.